MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 3. WARSZAWA, 19 STYCZNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

NARODOWE... PAŃSTWOWE...

IDEOLOG obozu piłsudczyków, p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Czerwiński wystąpił ostatnio (w przemówieniu na Zjeździe Harcerstwa Polskiego) z poglądem, że „nowe pokolenie może mieć w swej duszy zbiorowej również niedostatek elementów patrjotyzmu państwowego, że więc ten patrjotyzm państwowy, a nietylko narodowy należy w niem ze wszystkich sił budzić i rozwijać" (cyt. wg. „Gazety Polskiej" z dn. 30.XII r. ub.). Zgóry już można wprawdzie uczynić uwagę, że „niedostatek elementów patrjotyzmu państwowego" najmniej chyba groźnie musi przedstawiać się właśnie pośród pokolenia najmłodszego, wychowywanego we własnem, niepodległem Państwie, że jest on raczej pozostałością złych, nienormalnych warunków, w jakich żyło i kształtowało swoją psychikę społeczeństwo polskie w okresie niewoli. Tem nie mniej zagadnienie jest niewątpliwie ważne i pociągające jest bardzo, ażeby chociaż w drobnej części usiłować przyczynić się do urzeczywistnienia sformułowanego przez min. Czerwińskiego postulatu, a to przez próbę dokładniejszego określenia i wyjaśnienia niektórych pojęć, co dopiero dałoby możność przetworzenia ogólnikowych haseł „patrjotyzmu państwowego" na realny program wychowawczy.

Oto parę — szkicowo skreślonych — uwag ogólnych, jakie nasuwają się w tym względzie. Naród jest, jak niegdyś wyraził się Staszic, „moralną istnością", więź łącząca jednostkę z narodem jest więzią natury moralnej, świadomością przynależności do określonej cywilizacji narodowej, poczuciem odpowiedzialności moralnej za jej losy, gotowością do dobrowolnych wysiłków i poświęceń w imię jej rozwoju i trwania. Więź natomiast łącząca obywatela z państwem posiada charakter prawny. Państwo jest społecznością opartą na prawie.

Z rozróżnienia powyższego wypływa bardzo ważny wniosek. Oto, jakkolwiek możnaby oceniać wartość rewolucyj, przewrotów, zamachów stanu, sądząc je ze stanowiska interesów narodowych, klasowych i t. d. — jedno wszakże nie może ulegać wątpliwości: wszelki przewrót gwałtowny, wszelkie złamanie prawa jest zawsze, z natury swej czynem antypaństwowym. Sumienie narodowe niejednokrotnie czyn taki może rozgrzeszyć, jeżeli naród dostał się był pod władzę państwową obcą, jeżeli władza państwowa wprowadza rozkład w życie cywilizacji narodowej i chce popychać naród w kierunku sprzecznym z drogą jego historycznego rozwoju. Każdy jednak wyznawca „patrjotyzmu państwowego" przyznać musi, że przewrót rewolucyjny nie jest najlepszym przykładem... lojalności obywatelskiej wobec państwa. Z zamętu rewolucyjnego, na gruzach zburzonych przezeń form państwowych, częstokroć powstawały nowe, gorsze lub lepsze, jeżeli sprawcy przewrotu dokonywali go w celu wprowadzenia nowego porządku prawnego, nie zaś jedynie naruszenia porządku istniejącego dla łatwiejszego dorwania się i utrzymania się przy władzy. Ale to, co stanowi najistotniejszą treść „instynktu państwowego", ów wdrożony w psychice jednostki posłuch i szacunek dla prawa, dlatego poprostu, że jest prawem, że jest wyrazem legalnym nie wymagającej dalszych uzasadnień woli państwa, wyrazem ładu, nakazującego instynktowne podporządkowanie się w sumieniach legalnym zarządzeniom władzy — ten „patrjotyzm państwowy" właśnie nie jest napewno umacniany w duszach obywateli przez rewolucyjne zmiany rządów i polityczne przewroty...

Jeżeli teraz, w świetle tych uwag ogólnych, rozpatrzy się psychologję polityczną właśnie grupy t. zw. „sanacji“, wniosek narzuci się nieodparcie: obóz piłsudczyków, zwłaszcza w swych najgłębszych nawarstwieniach „legjonowych“, niewątpliwie nie jest pozbawiony instynktu narodowego, nieuświadomionego należycie, wypaczonego przez błędne wychowanie polityczne, tem nie mniej gotowego nieraz do ofiar bezinteresownych, nawet do czynów bohaterskich. Natomiast instynktu państwowego, wrodzonego niejako poszanowania porządku prawnego, którego państwo jest wcieleniem, nie odnajdzie się w tym obozie na lekarstwo.

Tem przedewszystkiem tłumaczy się owo szczególniejsze zamiłowanie piłsudczyków w nawiązywaniu do tych tradycyj z okresu niewoli, z których z najmniejszym pożytkiem czerpać mógłby wskazania na chwilę obecną naród, posiadający własne, niepodległe państwo. Tem tłumaczy się, że przywódcy „sanacyjni“ najcenniejszą wartość wychowawczą dla dzisiejszej młodzieży szkolnej dostrzegają np. w obchodach rocznicy strajku szkolnego w b. zaborze rosyjskim, albo w obchodach rocznic powstańczych. „Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“ nie potrafią wydostać się z zaklętego kręgu wpływów, które ukształtowały ich młodość spiskową, niewolną.

Cóż poradzi na to p. minister Czerwiński i frazes o „patrjotyzmie państwowym“?

JAN REMBIELIŃSKI

PRZYŁĄCZENIE CZY PODZIAŁ AUSTRJI

PROGRAM przyłączenia Austrji do Rzeszy został przez Niemcy jawnie postawiony. Wypowiedziały się w tej sprawie zgodnie wszystkie stronnictwa, począwszy od socjalnych demokratów, skończywszy na prawicy. Jednym z najgorliwszych propagatorów przyłączenia jest socjalista p. Loebe. Po drugiej stronie granicy — w Austrji — idea przyłączenia jest również popularna: głoszą ją zarówno socjaliści austrjaccy, jak i przywódcy „faszystowskich“ *Heimwehren*, jedyną tedy przeszkodą w dokonaniu przyłączenia jest dziś wola państw zwycięskich w wojnie 1914—1918 roku, wsparta obecnością Francuzów w Moguncji.

Nikt chyba nie wątpi, że z chwilą opróżnienia Nadrenji, co nastąpi najpóźniej 30 czerwca roku 1930, Niemcy przystąpią do realizacji swego programu w stosunku do Austrji. Są ku temu robione systematyczne i konkretne przygotowania. Nietylko prowadzi się stale odpowiednią propagandę w Niemczech i w Austrji, lecz robi się — bez rozgłosu — w Austrji cały szereg rzeczy, które zmierzają do tego, by połączenie odbyć się mogło bez żadnego wstrząsu. Niemcy liczą na to, że stworzą fakt dokonany, co będzie później potwierdzone przez plebiscyt i Ligę Narodów, która skorzysta przytem z uprawnień, jakie daje jej artykuł 19 statutu.

Wydaje się nam przeto, że jest obecnie chwila stosowna, by się zastanowić nad tem, jakie następstwa polityczne miałoby dla Europy przyłączenie Austrji do Niemiec. A to tembardziej, że opinja pod tym względem jeszcze się w Polsce nie wypowiedziała, i że zdarzyło się nam już nietylko słyszeć, lecz czytać rzeczy, które świadczą o dziwnem nierozumieniu położenia politycznego na naszym kontynencie.

Wypada przedwszystkiem zwrócić uwagę na to, iż przyłączenie Austrji do Niemiec zwiększyłoby znakomicie siłę Niemiec. Przybyłoby im 7.525.000 ludności i 83.833 kilometrów kwadratowych. Stosunek sił Niemców do złączonych sił tych państw, którym zagrażają ekspansywne dążenia narodu niemieckiego, zmieniłby się nakoniec i to na korzyść Niemiec. Łatwo sobie wyobrazić, że po przyłączeniu Austrji i program zupełnego zniweczenia postanowień terytorjalnych traktatu wersalskiego mógłby być łatwiej i prędzej urzeczywistniony.

Obok tego należy zwrócić uwagę na to, że położenie geograficzne zjednoczonych Niemiec byłoby o wiele korzystniejsze. Ciążyłby one nietylko znacznie większą masą na krajach Europy środkowo-wschodniej, lecz otaczałyby niektóre z tych krajów (Czechosłowacja) zwartą masą żywiołu niemieckiego. Zbliżyłyby się dalej Niemcy do półwyspu bałkańskiego, a ich granica z Jugosławją dałaby im możliwość wolnego oddziaływania na wydarzenia w Europie południowo-wschodniej. Duże wreszcie znaczenie miałoby dla Niemiec posiadanie wspólnej granicy z pewnymi dla nich sojusznikami — Węgrami. W środku Europy utworzyłby się silny blok niemiecko-węgierski, dążący do tego, by układ terytorjalny Europy cofnąć do tego stanu, w jakim był przed wielką wojną europejską, rozpoczętą w roku 1914-ym. Wreszcie uzyskanie bezpośredniej granicy z Włochami pozwoliłoby Niemcom na zabiegi, mające na celu wywieranie przyciągania na żywioł niemiecki w kraju, który Niemcy nazywają Tyrolem południowym, oraz wzmacniania tam odporności narodowej tego żywiołu.

Wzmocnienie siły Niemiec i korzyści natury geograficznej, jakie nastąpiłyby po przyłączeniu Austrji, sprawiają, że wszystkie państwa, którym zależy na tem, by utrzymać i utrwalić nowy, powojenny układ terytorjalny w Europie, muszą być przyłączeniu przeciwne.

Bezpośrednio są zainteresowane państwa małej Ententy i Polska. I to Polska wcale nie mniej od Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji, bo gdyby się Niemcom udało przyłączyć Austrję, to wystąpiłyby one natychmiast z postulatem poddania rewizji granicy polsko-niemieckiej. Dlatego to mówiliśmy już tyle razy i powtarzać będziemy ciągle, że niedopuszczenie do przyłączenia Austrji do Niemiec jest drugą linją okopów, broniącą całości terytorjum polskiego i jego oparcia o morze. Pierwszą linją okopów — już przez nas opuszczoną bez próby oporu — była okupacja Nadrenji. Musi się sprzeciwiać przyłączeniu Francja, bo to wytworzyłoby jeszcze większą dysproporcję między jej siłami, a siłami swobodnego sąsiada i wytwarzałoby warunki dla postawienia zagadnienia rewizji granicy polsko-niemieckiej, co wysunęłoby

z kolei zobowiązanie, wynikające z umów polsko-francuskich. Wielkiem niebezpieczeństwem byłoby przyłączenie dla Włoch — nietylko stałyby się one bezpośrednimi sąsiadami Niemiec, lecz odczułyby rychło ich współzawodnictwo na Bałkanach i w Azji Mniejszej, gdzie dziś są skierowane główne dążenia ekspansji gospodarczej włoskiej.

Pomijamy tymczasem w naszych rozważaniach W. Brytanję i Rosję, choć wznowienie polityki, którą przed wojną Niemcy łączyły z linją kolejową „Berlin — Konstantynopol — Bagdad“ nie może być obojętne ani dla W. Brytanji, ani dla Rosji. To, cośmy powyżej powiedzieli, wystarcza, by stwierdzić, iż istnieje w Europie szereg państw, które muszą być przeciwne przyłączeniu Austrji do Niemiec, które wskutek tego mają wspólny w tem interes, by do tego przyłączenia nie dopuścić.

W tym momencie trzeba jednak sobie odpowiedzieć na pytanie: czy to jest możliwe?

Wszak — może ktoś powiedzieć — jeśli ludność Austrji zechce się połączyć z Niemcami, to nikt nie będzie w stanie temu przeszkodzić. Zostanie wytworzony fakt dokonany w ciągu kilku godzin i „Europie“ nie pozostanie nic innego do zrobienia, jak fakt ten przez wyrażenie swej zgody uświęcić. Zapewne tak by było, gdyby narody zrezygnowały z możności obrony swych żywotnych interesów temi metodami, jakie od lat setek i tysięcy były zawsze stosowane w stosunkach międzynarodowych — z możności zastosowania siły. Nie wydaje nam się, by wobec zagadnienia, związanego tak ściśle nietylko z rozwojem lecz z istnieniem wielu państw w Europie, mogli kierownicy tych państw uznać za jedyny teren do obrony nowego, powojennego układu terytorjalnego Ligę Narodów. Gdyby więc Niemcy chciały wytworzyć, nie licząc się z zobowiązaniami międzynarodowemi, fakt dokonany, to należałoby odpowiedzieć na to faktami innemi. Należałoby zrobić dwie rzeczy: 1, to by terytorjum przyłączone do Niemiec było możliwie małe i 2. przywrócić naruszoną przez krok niemiecki równowagę polityczną w Europie wschodniej

Co do pierwszego punktu, to trzeba stwierdzić, że z obecnej granicy z Austrją nie są zadowoleni jej sąsiedzi — Włosi, Jugosłowianie, Węgrzy i Czesi. Włosi mogliby poprawić swą granicę strategiczną i swą geografję surowców, Jugosłowianie nie zapomnieli z pewnością, że mają rodaków w Styrji i w Karyntji...

Punktem drugim zainteresowane są wszystkie państwa Europy wschodniej, szczególniej jednak Polska. Sprawa przyszłości Austrji była przedmiotem rozważań Delegacji polskiej na konferencję pokojową. Roman Dmowski w memorjale złożonym Balfourowi w r. 1917 oświadczył się był za przyłączeniem niemieckiej części Austrji do Niemiec, lecz pod warunkiem, że Gdańsk będzie należał do Polski, że Prusy Wschodnie będą oderwane od Rzeszy i bądź to przyłączone do Polski, bądź też będą odrębnem, zdemilitaryzowanem państwem. Polska dziś nie mogłaby się pogodzić z przyłączesiem Austrji do Niemiec bez dokonania równocześnie zmian w Europie wschodniej, któreby przywracały naruszoną przez to przyłączenie równowagę polityczną.

Stoimy na tem stanowisku, że układ terytorjalny w Europie środkowo-wschodniej powinien pozostać takim, jakim jest obecnie, a więc Austrja powinna być państwem niezależnem. Gdyby wszelako Niemcy wysunęły na porządek dzienny sprawę przyłączenia, to należałoby przeciwstawić temu ich programowi program podziału Austrji i jednoczesnego przywrócenia równowagi politycznej w Europie środkowo-wschodniej. Jest to, zdaniem naszem, jedyna metoda polityczna, która może dać wynik pozytywny, a mianowicie ochroni Europę przed kryzysem, wobec którego stanęłaby w razie podjęcia przez Niemcy sprawy przyłączenia Austrji.

STANISŁAW KOZICKI

NOWOCZESNA PRZEMIANA SPOŁECZNA

WSPÓŁCZESNE życie społeczne stanowi obraz niezwykle złożony. Bezwzględny wzrost ludności, powstawanie wielkich, potwornych niekiedy, skupień miejskich z całą ich specyficzną strukturą socjalną, co określamy ogólnem mianem urbanizacji, bezprzykładny rozwój środków porozumiewania się i wzajemnego oddziaływania, oparty o nowoczesne wynalazki, udoskonalenia transportowe, kino, radjo i t. p. — oto potężne czynniki przemiany społecznej.

Pod wpływem tych czynników — tempo nowoczesnego życia społecznego staje się wprost zawrotnie szybkie. Procesy społeczne przebiegają w coraz krótszym czasie, współzależność ich wzrasta, ich wyniki końcowe coraz trudniej jest przewidzieć. Słowem, rzeczywistość społeczna dnia dzisiejszego tworzy całość bardzo skomplikowaną, dziedzinę, w której potoczne odczucie realności i duża nawet doza wyobraźni nie wystarczają do należytej orjentacji w wartkim prądzie życia, ciągle zmiennych uczuć, idej, dążeń.

Występuje to jaskrawo zarówno w dziedzinie zjawisk politycznych, jak też i gospodarczych oraz kulturalnych, a wynika z tego prostego faktu, że wszystkie te zjawiska są tylko stronami, mniej więcej konwencjonalnemi, jednego, zasadniczego procesu zjawisk społecznych.

Wyłania się stąd konieczność zwracania większej uwagi na naukową analizę tych podstawowych problemów, zwanych problemami socjologicznemi. Każdy naprawdę dojrzały kierunek polityczny musi się ugruntować w objektywnem poznaniu zagadnień socjologicznych, nie ulega bowiem wątpliwości, że w oparciu o myślenie naukowe na temat tego „co jest“, tem skuteczniej można rozwijać to, „co być powinno“, a więc określony ideał polityczny.

Teoretyczne rozważania, o których wspomnieliśmy powyżej, najdalsze są od abstrakcji; przeciwnie, tworzyć one mogą najbardziej konkretną syntezę rzeczywistości, widzianej w jej generalnych przejawach. Myślenie teoretyczne będzie tu poprostu uporządkowanem myśleniem. Dlatego też, sądzimy, będzie rzeczą pożyteczną krótka analiza współczesnej tendencji rozwoju społecznego, tak jak się ona obecnie zarysowuje.

2. Nauka socjologji za zasadniczy proces społeczny uważa wzajemne oddziaływanie, które dzieli na wzajemne oddziaływania osób na osoby i grup na grupy. Innemi słowy dziedzina społeczna jest

dziedziną wzajemnego wpływu pomiędzy jednostkami i grupami, na które jednostki się składają.

Otóż najprostszą formą oddziaływania wzajemnego jest styczność społeczna, pojęta najszerzej i obejmująca zarówno bezpośrednie zetknięcia za pośrednictwem zmysłów, a więc dotyku, wzroku, słuchu, jak i zetknięcia pośrednie, występujące w formie porozumienia umysłowego.

Przemiany zachodzące w charakterze styczności decydują o kierunku procesu społecznego, który jest wielką syntezą nieskończenie licznych wzajemnych oddziaływań ludzi na siebie.

3. Klasyfikacja styczności społecznych jest rzeczą niewątpliwie trudną, tem niemniej można dokonać z grubsza pewnego podziału. Znakomity socjolog amerykański, prof. Robert E. Park w pracach swoich „*Introduction into the science of sociology*" (współautorem jest prof. E. W. Burgess) oraz „*The City*" (*American Journal of Sociology XX*) rozróżnia przedewszystkiem między: a) stycznościami „ciągłości historycznej" a stycznościami „ruchliwości", oraz następnie między b) stycznościami „pierwotnemi" a stycznościami „wtórnemi". Określijmy pokrótce charakter tych kategoryj.

Mamy więc przedewszystkiem styczności „ciągłości" — które utrzymują historyczną łączność między pokoleniami, które przekazują zapomocą całego olbrzymiego zespołu tradycyj zdobyte zasoby doświadczenia, pojętego najszerzej. Bez styczności tego rodzaju każda cywilizacja kończyłaby się wraz z życiem bieżącego pokolenia.

Styczności „ruchliwości" — są to znowu styczności, zachodzące w zmieniającem się ciągle życiu teraźniejszem. Dają nam one nowiny i nowości i wywołują zmiany, przez upowszechnianie tych nowości w przestrzeni. „Są one miarą ilości i rozmaitości pobudek, których dostarcza życie społeczne — ostatnie wynalazki, najnowsze książki, przemijające wymysły i mody". Zależą z kolei i „dadzą się porównawczo mierzyć przez względne udoskonalenia środków komunikacyjnych i przez szybkość z jaką uczucie, opinje i fakty obiegają świat".

Jeśli chodzi o styczności „pierwotne", rozumiemy przez nie związki bezpośrednie ludzi, oparte o poufałość lub znajomość, związki konkretne i osobiste, takie, jakie obowiązują w drobnych grupach społecznych. Przez styczności „wtórne" natomiast — roznmiemy związki zewnętrzne i dalsze, częściowo lub całkowicie bezosobowe i abstrakcyjne, takie, jakie charakteryzują np. wielkie skupienia miejskie.

Oto co pisze prof. R. E. Park w swojej „*Introduction*": „Tak jak życie rodzinne jest wyrazem styczności dotyku i wzajemności uczuciowej, tak samo sąsiedztwo lub wieś są naturalnemi podłożami pierwotnych styczności, a miasto terenem społecznym dla styczności wtórnych. W związkach pierwotnych pozostają jednostki w styczności ze sobą we wszystkich prawie przejawach swego życia. Na wsi „każdy wie wszystko o każdym innym". Prawidła postępowania są bezwzględne, kontrola społeczna wszechwładna, stanowisko rodziny i jednostki ściśle określone. W zrzeszeniach wtórnych jednostki są w styczności z sobą tylko pod względem jednego lub dwuch przejawów swego życia. W mieście jednostka staje się bezimienną; w najlepszym razie jest ogólnie znaną z tego lub innego przejawu swojej osobowości. Prawidła postępowania są względne; dawna pierwotna kontrola zanikła; nowe, wtórne czynniki karności, z konieczności formalne, są przeważnie surowe i niedostateczne, stanowisko rodziny i jednostki jest niepewne i podległe nagłym wznoszeniom się lub opadaniom w hierarchji społecznej". A dalej czytamy w „*The City*": „W wielkiem mieście miejsce poufnych i stałym związków w małym zespole, zajmują przypadkowe i przelotne stosunki. W tych warunkach stanowisko jednostki określa się w znacznej mierze przez znaki konwencjonalne — modę i pozór".

4. Po tych paru uwagach nad charakterem podstawowych styczności społecznych, nietrudno nam będzie określić n a c z e m p o l e g a w s p ó ł c z e s n y p r o c e s s p o ł e c z n y, u w a r u n k o w a n y, p o w s t a w a n i e m w i e l k i c h s k u p i e ń m i e j s k i c h o r a z r o z w o j e m ś r o d k ó w k o m u n i k a c j i i w z a j e m n e g o o d d z i a ł y w a n i a. Zasadza się on poprostu na stopniowej i cześciowej przemianie „społeczeństwa opartego na stycznościach ciągłości i stosunkach pierwotnych na społeczeństwo o wzrastającej ruchliwości, zorganizowane na podstawie styczności wtórnych".

Poczucie ciągłości spotykane w grupach pierwotnych, gdzie życie społeczne postępuje powoli, jest silniejsze, niż w grupach wtórnych, w których życie prędko płynie. Z kolei większa ruchliwość potęguje rozwój styczności wtórnych, tak, iż mamy tu w rezultacie wielki współzależny splot przyczyn i skutków.

Oto — socjologiczna istota t. zw. urbanizacji, o której jedni mówią, że jest klęską ludzkości' inni zaś widzą w niej drogę wiodącą do szczęścia.

5. Zarysowana powyżej przemiana wiąże się z szeregiem doniosłych konsekwencyj, zarówno z pnnktu widzenia jednostki jak i grupy społecznej. Rzecz prosta, nie możemy się nawet pokusić o ich klasyfikację, a tem bardziej o szczegółowsze wyliczenie. Zagadnienia interesujące nas tutaj stanowią przecież olbrzymi problem. To też ograniczymy się do zaznaczenia jedynie kilku ważnych punktów.

Życie w społeczeństwie, opartem na stycznościach wtórnych — odrywa osobnika od poufałych, bezpośrednich i samorzutnych styczności z rzeczywistością społeczną i tu leży niewątpliwie przyczyna nadmiernej zawiłości zagadnień życia miejskiego. Przejście od stosunów konkretnych i osobistych do abstrakcyjnych i bezosobowych, opierających się na nauce i technice, pozbawiło jednostkę dużej części naturalnych możliwości dla wyrażenia jej zainteresowań i jej energji. „Temu faktowi — pisze prof. Park — należy przypisać w znacznej mierze niepokój, żądzę nowości i podniecenia, tak charakterystyczne dla życia nowoczesnego. Ten niepokój wzruszeniowy został wyzyskany przez prasę, przedsiębiorstwa rozrywkowe, modę i agitację, które przemawiają do wzruszeń, uczuć i instynktów, oderwanych od ustalonego życia grupy pierwotnej".

Poza powyżej przedstawioną zasadniczą konsekwencją psychologiczną, dalszą konsekwencją życia społecznego, opartego o wtórne styczności, będzie „wyzwalanie się" jednostki z pod ścisłego nadzoru grupy pierwotnej, rozluźnianie się porządku moralnego i kontroli dotychczasowej, i zastępowanie jej nowemi, formalnemi przeważnie środkami. W życiu miejskiem — opinja publiczna, re-

prezentowana przez prasę, nabiera specjalnego znaczenia jako źródło nadzoru społecznego.

Pod działaniem środowiska o przewadze styczności wtórnych, jakie stanowi np. wielkie miasto, szereg tradycyjnych instytucyj społecznych, jak kościół, rodzina — ulega znacznym modyfikacjom, wpływ środowiska jest tutaj w pewnem znaczeniu wpływem rozkładowym.

Możliwość życia równoczesnego na najrozmaitszych terenach społecznych — również godna jest zaznaczenia, jako jedno z założeń strukturalnych wielkich skupień ludzkich. „Nadaje to życiu miejskiemu cechę powierzchowną i przygodną, zmierza do zawikłania stosunków społecznych i wytworzenia nowych i odmiennych typów indywidualnych”.

Należy także zanotować istnienie związku między rozwojem styczności wtórnych a „uruchomieniem pojedyńczego człowieka“.

Oprócz skutków, wynikających z przemiany styczności z pierwotnych na wtórne, którą to przemianę stwarza fakt powstawania coraz większych skupień ludzkich, drugą grupę stanowią z kolei konsekwencje coraz szerszego rozwoju styczności ruchliwości, dzięki wspaniałemu rozkwitowi środków komunikacji i oddziaływania, opartych o nowoczesne urządzenia i wynalazki techniczne. Oczywiście styczności ciągłości obowiązują i zawsze muszą obowiązywać, chodzi więc tylko o to, że tempo zmian, upowszechnianych w teraźniejszości i ciągle narastających, wpływa istotnie na charakter tradycji, pojętej najszerzej, przekazywanej następnym pokoleniom.

W rezultacie mamy do czynienia z wartkim potokiem coraz to innych uczuć, opinij, dążeń. Procesy społeczne przebiegają w czasie krótkim, niekiedy w sposób gwałtowny. Współzależność ich wzrasta. Podobna szybkość tempa rozwoju społecznego sprawia, że dziedzina socjalna przedstawia coraz bardziej skomplikowany obraz. Coraz bardziej życie społeczne staje się „wzniosłym dramamatem, w którym jednostka może odegrać swoją rolę, którego jednak epilogu nie podobna przewidzieć“ — jak pisze głośny socjolog francuski prof. Alfred Fouillé w swojej „*Psychologie du peuple français*”.

6. Rzecz prosta, to co przedstawiliśmy, jest jedynie współczesną tendencją rozwoju społecznego i społecznych przemian. Nie znaczy to jeszcze, aby słowo „urbanizacja” symbolizowało warunki życia większości ludzi. Ale z tą tendencją, tendencją faktyczną, liczyć się trzeba, i liczyć się z nią musi także myśl polityczna w swych dążeniach, aby w oparciu o poznaniu rzeczywistości — tem skuteczniej mogła dążenia te realizować. Oczywiście nie chodzi tu bynajmniej o dodatnie wartościowanie wspomnianej tendencji, a jedynie o konsekwencje, jakie z niej mogą wyniknąć w dziedzinie myślenia politycznego.

ST. L-SKI.

Z PAMIĄTEK PO SIENKIEWICZU

I. ORĘDZIE W SPRAWIE POLSKIEJ

DZIESIĘĆ lat temu ukazała się w wydawnictwie „*Quaderni della guerra*“ (Medjolan 1919) ilustrowana książka niewielkich rozmiarów, zatytułowana „*Sui campi di Polonia*“ — „Na polskich rozłogach“. Autorem jej był wybitny pisarz włoski, Concetto Pettinato [1]), który z początkiem wojny światowej przebywał jako korespondent na froncie rosyjsko-niemieckim w Królestwie i był świadkiem tragedji, jaką przeżywała podówczas ziemia polska i dusze Polaków. Już z tego względu książka ta zasługuje na uwagę czytelnika, co atoli większą jej wagę nadaje, to zamieszczona na czele, dłuższa przedmowa Henryka Sienkiewicza, podana w formie listu do autora.

List ten uszedł baczności polskich historyków literatury. Nie wspomina o nim ani słowem G. Korbut, choć w 3-cim tomie swej pożytecznej „Literatury“ dał pokaźną bibljografję Sienkiewiczowską; pominął go i Lam w swej monografijce Sienkiewicza. Także i prof. Chrzanowski nie zamieścił go w swem bardzo cennem wydaniu Sienkiewiczowskich „pism nieznanych i zapomnianych“[2]). Wobec czego nie od rzeczy będzie wydobyć z zapomienia ów ciekawy dokument, który — prócz wielkiej wartości literackiej — ma i tę wartość, że ukazuje nam Sienkiewicza jako gorącego patrjotę, a w pewnej mierze i jako polityka.

Nie udało mi się stwierdzić, w jakim języku był ów list pisany pierwotnie. Może po francusku — językiem tym władał Sienkiewicz wybornie; może po włosku, boć i ten język autor „Quo vadis“ nieźle opanował podczas tylokrotnego pobytu we Włoszech, zwłaszcza że pomocną mu była doskonała znajomość łaciny — mógł o sobie powiedzieć *mutatis mutandis* słowami Płoszowskiego: „Wcześnie i łatwo nauczyłem się po łacinie, bo język włoski, którym jako mieszkaniec Rzymu władałem biegle, ułatwił mi tę naukę”. („Bez dogm.“ I). Nie jest jednakże wykluczone, że — skoro Pettinatowi polszczyzna nie była obcą — list mógł być pisany po polsku. Zanim się sprawa wyświetli, podaję list w swoim dosłownym przekładzie:

„Drogi Panie!

Z wielkiem zainteresowaniem przeczytałem bruljon Pańskiej książki „Na polskich rozłogach“. Te zapiski, taką przeniknięte dramatycznością, tak pełne ruchu, życia i kolorytu, znacznie przybliżają czytelnikowi naszą krainę, jej miasta, jej pola i jej mieszkańców, czyniąc go niejako świadkiem naszego pielgrzymstwa i okropnej udręki, jaka rozpętała się nad Polską.

Sprawia to nietylko pański talent narratorski. Conajmniej w równej mierze — jak to miałem sposobność zauważyć już podczas naszych pogawędek w Vevey, — podziwiam ów dar orjentacji, który pozwolił panu równie trafnie wniknąć w najskrytszą głąb polskiej duszy, jak i odmalować istotny stan rzeczy. Pan umiałeś uwydatnić nasze tragiczne wahanie się między nadzieją i zwątpieniem, nasz pęd ku przyszłości, zapowiadającej jakoby gruntową zmianę w życiu Polski, a jednocześnie i zakorzenioną w nas nieufność wobec tej przerażająco ciemnej przyszłości. Znając całowiekową po-

[1]) Autor powieści „*Il Delfino di Kavak*“ etc.

[2]) Doszła mnie wieść, że przygotowuje się druga — powiększona — edycja tej książki. Nie powinno w niej zabraknąć i listu do Pettinata.

litykę Rosji, zrozumiałeś pan, że nasze wahania są aż nadto uzasadnione, a na ich zmniejszenie ledwie że wpływają przyrzeczenia gubernatora rosyjskiego oraz głębokie przekonanie, iż zwycięstwo Prusaków równałoby się doszczętniej zagładzie naszego narodu.

Pańskie zdolności obserwacyjne zdobyły sobie już takie uznanie, że moi rodacy, przebywający we Francji, powzięli zamiar ogłoszenia Pańskiej pracy w przekładzie na język francuski i angielski. Takie obrazy i takie fakty, przedstawione piórem cudzoziemca, wywołałyby niechybnie jeszcze większe wrażenie w opinji świata.

Książka Pańska wielce się przyczyni do wyjaśnienia dylematu, tkwiącego dziś w duszy polskiej. Polska jest pośród wszystkich krajów, zamieszkanych przez szczep słowiański, jedyną wielką przedstawicielką cywilizacji zachodniej. Ze strony Rosji, zawsze wrogiej duchowi zachodu, przyszło jej wycierpieć tak wiele, że nieoczekiwana zmiana w postępowaniu ciemiężyciela wywołuje w niej zdumienie, nie pozbawione i niepokoju. Czułaby się szczęśliwą, gdyby istotnie raz na zawsze zamknął się dla niej okres męczeństwa... niestety, zbyt trudną dla niej rzeczą byłoby zapomnieć o cierpieniach tak jeszcze niedawnych. Cały kraj pamięta, że polityka rosyjska w stosunku do niego zawsze ściśle i niewolniczo ulegała podszeptom Berlina; niepodobna też przeoczyć, że pomimo przepaści, jaka dziś dzieli oba mocarstwa, wspomniana polityka wciąż jeszcze postępuje dawnym torem.

Tak jest. Z jednej strony manifest wielkiego księcia, któremu radzibyśmy wierzyć z całego serca, z drugiej zaś fakty takie, jak te, które miały miejsce we Lwowie i które jasno stwierdzają, że dawne metody, podyktowane przez Prusy, znajdują nadal pełne zastosowanie. Nikt z nas nie wątpi o szczerości obietnic naczelnego wodza: każdy jednak zadaje sobie pytanie, co z tych obietnic ostanie się w końcu, gdy ich urzeczywistnianie powierzone będzie biurokracji rosyjskiej? Może stanie się to samo, co z „ukazami" cesarskiemi o tolerancji religijnej? Któż tedy mógłby naszemu niepokojowi o przyszłość zarzucić przesadę?

Lecz to jedynie jeden z wielu elementów tragedji polskiej duszy — tragedji wprost bezprzykładnej w dziejach. Bezprzykładnej, powtarzam,— ponieważ nawet ta Belgja, z którą porównanie rzuca się odrazu w oczy, znajduje się istotnie w położeniu o wiele mniej przykrem. Prawda, że kraj ten — na urągowisko wszelkim prawom Boskim i ludzkim — został po barbarzyńsku zniszczony, że jego miasta, kościoły i skarby sztuki zgorzały i legły w ruinie. Mimo wszystko ta zawierucha trwała tam znacznie krócej, niż na ziemi polskiej, albowiem po nagłem zagarnięciu terytorjum belgijskiego przez wrogów, wojna w dalszym ciągu toczyła się już poza jego granicami. Nadewszystko jednak inna myśl przedstawia oczom naszym los Belgów jako godzien zazdrości — mianowicie myśl, że oni mogli do ostatniego tchu walczyć za ojczyznę. Znacznie szczęśliwsi od Polaków, wiedzą dobrze, jakiej to sprawy bronią kosztem krwi własnej!.. Natomiast my, w liczbie półtora miljona pobrani w szeregi trzech wrogich armij, giniemy w setkach tysięcy... W jakim celu? Za czyją sprawę?

Od siedmiu miesięcy Polska jest widownią ciągłych walk. Od brzegów Niemna aż po Karpaty nieustannie grzmią działa, płoną bez przerwy wsie i miasta. Wiedzą-ż we Włoszech, że niektóre połaci naszego kraju jedenaście razy kolejno zmieniły właściciela? Wiedzą-ż, że w okolicach, zajętych przez Prusaków, nieprzeliczone rzesze mężczyzn kobiet i dzieci kryją się w głębi lasów i tam, żywiąc się korą drzew, umierają z głodu i zimna? Z dziesięciu gubernij Królestwa Polskiego dziewięć już uległo doszczętnemu spustoszeniu. A Galicja? Wiarygodni świadkowie donoszą mi, że kraj ten w większej części jest już pustynią. Ludność, z chat wypędzona, mrze z głodu. Zbiegowie, rozmieszczeni po prowincjach Austrji, bardziej odległych od terenu wojny, w barakach wybudowanych z karygodną wprost niedbałością, bezsilnie patrzyli, jak dzień po dniu wymierały im (o zgrozo) wszystkie dzieci poniżej lat ośmiu!

Od jezior mazurskich aż po granicę węgierską wojna zniszczyła 15000 wsi polskich, a parę tysięcy zrównała z ziemią. Przeszło 400 miast i miasteczek uległo temuż losowi. Z tysiąca przeszło kościołów pozostały jedynie rumowiska. Zburzenie Kalisza żyje jeszcze w pamięci całego świata. Kto przeczyta książkę pańską, te prawdziwe *Lacrymae rerum* — wymowne i wzruszenia pełne — nie potrafi się odżegnać od uczucia zgrozy. Panu, który zbliska oglądał wojnę, zgóry będzie oczywistem, że od dnia, w którym Pan Polskę opuścił, ruina i wyludnienie kraju jedynie mogły się zwiększyć.

Zachowam dla Pana cześć prawdziwą za te tak pouczające karty, kreślące pierwszy akt tragedji, która skończy się, kiedy Bóg zechce, która jednakże z pewnością nie zakończy się naszą śmiercią. Mój kraj tak już jest zaprawiony do znoszenia boleści, taką jest obdarzony odpornością, energją i żywotnością, że potrafi przetrzymać te ciężkie próby, któreby zdołały zmiażdżyć kogo innego. Nigdy nie zapomnimy pieśni bojowej, którą nasi żołnierze po raz pierwszy zanucili na ziemi włoskiej, walcząc za sprawę włoską: Jeszcze Polska nie umarła! Niewątpliwie: jednakże chcemy, by świat wiedział o naszym losie. Lepiej niż poprostu umierać przy świetle dziennem, jest cierpieć przy świetle dnia. Przedewszystkiem pragnęlibyśmy, żeby prawdę o nas wiedziała Italja — ta Italja, która sama wiele wycierpiała, więc z przeznaczenia swego niejako winna lepiej od innych narodów nas zrozumieć. Świadomość, że ojczyzna wasza, również przez czas tak długi nieszczęśliwa i zdeptana, dziś trzyma w rękach losy Europy, ta świadomość wlewa w nas męstwo i nadzieję na lepszą przyszłość.

Promienie wiedzy, płynącej z waszych czcigodnych szkół, rozlały się ongiś po całym świecie. Oby dziś serca wasze mogły równie jasnym promieniem oświecić cierpienia jednego z narodów. Polska dopomina się jedynie tego, żeby ją usłyszano i zrozumiano, żeby przynajmniej umiano uczcić jej niezłomność, jej odwieczne męstwo. Do tego właśnie bardzo się przyczyni książka Pańska. Jeszcze raz więc dzięki Panu składam.

Vevey, w lutym 1915 **Henryk Sienkiewicz.**

List sam tłumaczy się swą treścią i nie wymaga komentarzy. Biegnie on po tej samej linji ideowej, po której cała niemal twórczość Sienkiewicza. Autor „Krzyżaków" i „Bartka-zwycięzcy" jeszcze na schyłku swego żywota widzi w Niemcach najgroźniejszych i najzawziętszych wrogów narodu polskiego; jednocześnie niedowierza i Rosji,

znając jej obłudę i niższość kulturalną; wspomina ukaz toleracyjny, w którego sprawie w swoim czasie głos zabierał. Konsekwentność myśli widzimy i w tej niezłomnej wierze, że pomimo wszelkich „opresyj“ Polska przetrwa i zwycięży, nie ulegnie rozbiciu i zagładzie. To było przecie kiedyś myślą przewodnią „Trylogji“; to samo tętniło i w powieści podjętej w zaraniu wojny i niedokończonej — w „Legjonach“. Z tą powieścią wiąże się przytoczony list Sienkiewiczowski i refrenem naszego hymnu narodowego, który jak tam tak i tu został przezeń zacytowany w brzmieniu pierwotnem: „Jeszcze Polska nie umarła“ — *La Polonia non è morta!*

JÓZEF BIRKENMAJER

II. Z ZAPOMNIANYCH AFORYZMÓW

„Antynacjonalizm w Polsce odznacza się tem, że uznaje wszelkie wewnętrzne nacjonalizmy, z wyjątkiem polskiego”.

*

„Kłamstwo jest chyba bardziej nagie, niż prawda, albowiem stale od niej szat pożycza“.

*

„Głupi i tyrański rząd jest to młot, który myśli, że gwoździe istnieją tylko na to, żeby miał kogo bić po głowie“.

*

„Dzieje uczą, że najgorszym tyranem jest taki władca, który w jednej osobie jest demonem i durniem“.

*

„Gdyby Chrystus zstąpił powtórnie na ziemię i począł nauczać pod rządem pruskim, zostałby niechybnie wydalony, jako uprzykszony cudzoziemiec“.

*

„W sztuce istnieją rozmaite szkoły i kierunki, ale kto ma swój własny powóz, ten nie jeździ omnibusem“.

*

Te (i inne jeszcze aforyzmy) ukazały się w druku w „Straży Polskiej“ (lipiec 1908, nr. 3). Wiadomość o nich zawdzięcza niżej podpisany profesorowi Stanisławowi Gurkowi, który wiele czasu i trudu wkłada w odnajdywanie po czasopismach i jednodniówkach zapomnianych utworów Sienkiewicza. Na podstawie tych poszukiwań nowe wydanie „Pism zapomnianych i niewydanych“ będzie można znacznie uzupełnieć. Tu warto wtrącić, że Sienkiewicz od lat najmłodszych lubił układać aforyzmy, które dowcipem, darem spostrzegawczym i przepyszną formą godne są stanąć też obok aforyzmów Aleksandra Fredry; do późnych lat umiłowania tego nie zatracił, czego najwymowniejszem świadectwem są wręcz rojące się od aforyzmów „Wiry“.

Czy przytoczone wyżej aforyzmy są dzisiaj aktualne, na to niech każdy sam sobie odpowie, według swego własnego rozumu, własnego daru spostrzegawczego i — własnego sumienia.

IGNACY CHRZANOWSKI

UJEJSKI O KSAWERZE DEIBEL

BOY ogłasza w „Bronzownikach” list Witolda Bełzy, bratanka Władysława, tyczący sprawy, którą znam również. Witold Bełza pisze mianowicie, że stryj jego posiadał listy Ksawery Deibel do Mickiewicza, że Władysław Mickiewicz i pani Gorecka dowiedziawszy się o nich, domagali się zrazu, aby im Bełza je przesłał — a gdy tego nie uczynił, nalegali, aby je sam spalił i że Bełza to wkońcu uczynił. Uważam Witolda Bełzę za świadka bezwzględnie ścisłego i przekonaną jestem, że podał każdy szczegół tak, jak go usłyszał i zapamiętał. Zdaje mi się wszakże, że należy się jego stryjowi, abym złożyła zeznanie równoległe — tembardziej że dalsze milczenie o rzeczy ogłoszonej jest już dziś bezcelowem.

Było tak. Mieszkaliśmy z Wład. Bełzami długie lata w jednej kamienicy, we Lwowie. Nic się nie mogło wydarzyć ciekawego, ani u nich ani u nas, aby nie było doraźnej wymiany wieści i wrażeń. Dużo też wcześniej, niż je zasłyszał Witold Bełza, obiło się o moje uszy imię Ksawery, Mickiewicza, jego żony i Towiańskiego, w jakimś podejrzanym ze sobą związku. Rozmowy milkły bowiem zawsze, gdym — dziewczynka wówczas — nawinęła się bliżej.

Po latach, odczytując z rękopisów długoletnią korespondencję mojej matki, Karolowej Młodnickiej, z domu Wandy Monné — z Kornelem Ujejskim, natrafiłam na ślad tych ówczesnych zasłyszeń. 15/10—1885 pisze moja matka do Pawłowa:

„Czemuż nie mogłam bodaj raz widzieć Adama! Teraz, radabym przepraszać jego cienie za to wszystko, co do jego kroniki biograficznej włączają. Znasz historję owej Ksawery?”. 26/10 odpowiada Ujejski: — „Znam „Ksawerę“. To Ksawera Deibel. Widziałem ją u Mickiewicza. Śpiewała, na rozkaz jego, „Słowiczka“, z muzyką przez niego skomponowaną. Cudowna muzyka! Ta którą wydał Bełza, nieprawdziwa. Przyszlij mi anegdoty biograficzne. Domyślam się, tam coś jest o tej Ksawerze. Wiem różne rzeczy o niej, chciałbym sprawdzić, co drukowane”.

Znamienną jest ostrożność obojga piszących, z jaką — nim odsłonią wiadome sobie i niewiadome, szczegóły — wybadać się chcą nawzajem, co które już wie i „co drukowane“. Zastanawia też cudzysłów, którego Ujejski użył przy imieniu Ksawery. Wygląda to tak, jakby Ujejski zaznaczał, że to tylko jej *nom de guerre*, pseudonim—a może coś w rodzaju imienia przybranego w zakonie przez „siostrę“. Wobec dzisiejszych badań, które kwestjonują czy to imię istotnie miała, szczegół ten nie jest bez znaczenia, skoro się wogóle o tej rzeczy bez znaczenia dziś mówi.

Ujejski pisze wyraźnie, że wie „różne rzeczy o tej Ksawerze“. Matka moja, wiem o tem z całą pewnością, znała treść owych Bełzowych dokumentów — nie kwapi się jednak żadno z ich wyjawieniem na piśmie. 1/XI idzie ów list do Pawława:

„Anegdoty Bełzy *) Ci poślę, ale w nich o Ksawerze nie znajdziesz. Zbierają osobne materjały,

*) „Kronika potoczna i anegdotyczna z życia A. M.“ zebrał Wł. Bełza. Lwów, 1884.

którebym bez skrupułu spaliła. Musi to być dla wielkich duchów jedna z najsroższych czyścowych katuszy, to wciskanie ich napowrót w zbrukaną ziemską skorupę. Niecierpię tych wywlekań".

Rodzice moi mieli relacje z Arturem Wołyńskim, Bełza był w stałej korespondencji z Lenartowiczem. Wedle tego, co się dziś wie, owe „bogate materjały" to musiał być przedewszystkiem pamiętnik Zofji Szymanowskiej — a równocześnie owe „znamienne", jak stwierdza Witold Bełza, autografy listów, które miał jego stryj.

W następnych rocznikach korespondencji z Ujejskim, niema już ani słowa o Ksawerze. Bez wymiany szczegółów, zrozumieli oboje z moją matką, że wiedzą to samo i uznali, że milczenie jest najwłaściwszem. Dopiero w niedokończonej autobiografji Ujejskiego, którą moja matka dała Michałowi Pawlikowskiemu do pierwszego tomu jego „Lamusa", znaleźliśmy fatalny ustęp, tyczący Towiańskiego i całej „*bande infernale*", z którą Ujejski nieszkodliwie dla siebie, ale bacznie się zetknął. Jakaż to byłaby *trouvaille* dla dzisiejszych prawdziarzy! Cóż, kiedy ją moja matka, z całkowitą naszą aprobatą, wczas przed drukiem zawarowała. Dziś autograf spoczął w archiwum medyckiem.

Ale wracam na ulicę Zimorowicza, w sąsiedztwo z Bełzami. Jako się rzekło, rychło zmiarkowałam, że pan Bełza posiada — (skąd, nie słyszałam nigdy) — wysoce poufne listy, pełne jakiejś Ksawery Deibel i że są wśród tych dokumentów także listy Celiny Mickiewiczowej do Towiańskiego. Pamiętam najdokładniej z późniejszych słów rodziców, że na te listy Celiny kładł Bełza największy nacisk, jako na nieoceniony dowód przeciw „Mistrzowi" i że ich to, najusilniej, domagała się rodzina w Paryżu.

W r. 1890 w lipcu, sposobiłyśmy się z matką na pogrzeb Mickiewicza do Krakowa. Byłam już wtedy dorosłą dziewczyną. Bełza wybierał się tembardziej. Pamiętam, jak na wyjezdnem przyszedł jeszcze do nas na górę i mówił z irytacją o nowym liście od Wład. Mickiewicza, który, dążąc również do Krakowa, wyrażał pewność, że mu tam Bełza owe papiery do pokazania przywiezie. Byłam obecną przy tej rozmowie, która zakończyła się tem, że Bełza, wyfukawszy się i wyżaliwszy, odszedł z decyzją zabrania jednak listów do Krakowa, zniewolony ostatecznie prośbą pani Goreckiej, dołączoną do słów brata.

W Krakowie, spotkawszy Bełzę, usłyszałyśmy, że listy są już w rękach obojga i że go poprosili o zastawienie ich „do jutra", zobowiązując się oddać po przeczytaniu. Pamiętam, pod jakim urokiem pani Goreckiej był Bełza, jak był nabożnie nastrojony tem zetknięciem z żywemi relikwjami po wieszczu. Dopiero we Lwowie, po powrocie, doszedł nas epilog sprawy. Tak żywo jak pamięta Witold Bełza wrażenie znacznie późniejszej rozmowy swego stryja z Grzegorzewskim, czy Kallenbachem, tak ja pamiętam wzburzenie Bełzy, gdy przyszedł wtedy na świeżo z Krakowa z wieścią, że listów napowrót nie otrzymał i że mu pani Gorecka wręcz wyznała, że spaliła je sama, uważając to za swój obowiązek. Mam go do dziś w oczach, jak — zawsze impetyk, człowiek do pedanterji sumienny i już wówczas zapadający na serce, — trząsł się poprostu, opowiadając o tym zawodzie. Odszedł niekontent z rodziców, którzy uznając nielojalność postępku pani Goreckiej, uznawali jednak jego racjonalność.

Z czasem, gdy ochłonął, musiał chyba sam powiedzieć sobie na pociechę, że może jednak lepiej się stało, skoro zdobyć się potrafił na gest aż tak wspaniałomyślny, jak wzięcie na siebie — w późniejszej rozmowie z bratankiem młodzieńczykiem — pełnej odpowiedzialności za zniszczenie autografów. Dziś, raczej aby zdemaskować tę wspaniałomyślność Bełzy, — niż utrwalić sam epizod, mający już zresztą liczne analogje, składam dodatkowe zeznanie o jednej i tej samej sprawie.

Gdy Ujejski w r. 1892 w jesieni był u nas w Skolem, zagadnęła go mama o powierzchowność Ksawery. Powiedział, że była chuda, niepokaźna, o smagłej, jakby cygańskiej urodzie, ze wspaniałemi oczyma, cokolwiek *mal faite*, jakby lekko ułomna i tak niska, że siadając do fortepianu, kładła na krześle stos nut, aby sięgnąć wygodniej klawiszy. Bardzo wybitnie muzykalna. Na tem się temat wyczerpał.

Bełza, wiem o tem z całą pewnością, robił z każdego dnia zapiski. Ten dziennik musi istnieć. Zapewne posiada go Kazimierz Ostrowski Bełza, syn Władysława. Może z czasem dokument ten potwierdzi prawdziwość mego zeznania, chyba że i w tych zapiskach, Bełza,—romantyk i pedagog— pozostał wierny rycerskiemu gestowi, w którego powinność i skuteczność wierzył. Nie dożył czasów obecnych, w których „*für wissenschaftliche Zwecke*" — można i nad Mickiewiczem przejść — do nieporządku i obnażyć coś, co przecież sam Boy nazywa „ponurą Dostojewszczyzną".

Czy nie godziwiej jednak było przykryć Noego?

Lwów. MARYLA WOLSKA

HYMN DO ZIEMI

Któżby ciebie nie kochał ziemio żywicielko,
Ciężkie zboża i bujne nam rodząca pasze,
Owoców rozmaitość i obfitość wszelką?!

Któżby ciebie nie kochał? — Przecie duchy nasze,
W bezprzytułku na otchłań rozsypane wielką,
W tobie znalazły przystań i domu poddasze...

Przecie z ciebie, nim znowu przeznaczeń cięciwa
Wyrzuci ją na przestrzeń, dusza sok żywota,
Niby pszczoła na łące miód słodki dobywa.

Nim rośnie i nim tylko bogata i złota,
Gdy zużytych narzędzi zmysłów się wyzbywa,
Pędzi w noc, aż ją znowu przywoła tęsknota...

Aż ją znowu zaleci woń twej koniczyny,
Woń ziół, słodyczą bytu nad miarę wezbrana,
I odmłodzi na nowe jakieś narodziny.—

Szatą łąk, ciemnym płaszczem puszcz cudnie ubrana!
W toń perłową zapadła, w srebrne pajęczyny
Zasnuta, gdy nad tobą lampę wzniesie Djana,

Święć się ziemio! Ty, któraś nauczyła ludzi
Pracy i bohaterstwa, — rozgrzana wiernością
Wielkich serc!... W tobie, gdy się człek z ludźmi utrudzi,

Nowa siła, gór twoich krzepiona wielkością,
Niech się w nas, z zawiłości spraw, na nowo budzi...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Rozkład moralny idzie zgóry. — Nowa hierarchja, nowi wychowawcy. — Czy wystarcza dozór państwowy? — Nożownictwo i prasa brukowa. — Nasza szkoła pracy.— Ambicja narodowa jako czynnik wychowawczy.

DZIENNIKI donoszą o procesie sądowym funkcjonarjuszów policji, którzy połamali komuś kości przy spełnianiu obowiązków służbowych. Była to czynność niejako sportowa. Od pewnego czasu łamanie kości stało się modne w Warszawie. Motyw ten nie schodził ze szpalt „miarodajnego“ dziennika „Głosu Prawdy“, który zasłynął z przestępstw redaktora i z apologatyki bicia. Artykuły wstępne i fejletony łyskały błyskawicami pogróżek, lub iskrzyły się od humoru, gdy bito publicystów. Nawet gdy ktoś ginął, organ polityczny wykrzykiwał: „O jednego szkodnika mniej“ — wielkie rzeczy! Gdy chciano zbrodnię ukryć, pisano lub mówiono po salonach z całym cynizmem: „Nie bójcie się o niego — uciekł za granicę i doskonale się tam bawi“. Mniejsza, że to mówiono, ale ci, co słuchali, oczywiście nie wierząc, podziwiali nową modę stosunków z uczuciem zadowolenia:

— Przecież nadeszły czasy z perspektywą pewnej wolności w złem, gdy dotąd trzeba się było krępować.

Pamiętam z czasów młodości wrażenie, jakie robiły fejletony Bolesława Prusa, udowadniające, że rozkład moralności zawsze idzie zgóry. Były to odkrycia. Istnieje w społeczeństwie hierarchja. Dolne poziomy oglądają się na wyższe — taka już natura rzeczy. Przywykły oczekiwać stamtąd dobra, rozwój bowiem społeczny w zasadzie przez to piętrzenie udoskonala życie. Im wyżej, tem szerszy widnokrąg, większe możności działania na rzecz zbiorowości. A że temu szczeblowaniu odpowiada rozrost ducha, więc ludzie w górę wyniesieni mają możność rozumienia, że ich wyższość polega nie na tem, że zdobyli więcej praw, lecz że ponosić mogą więcej obowiązków. Świecznikami są, kierownikami, wychowawcami, wzorem. Ponieważ ludziska lepiej pamiętają dobro, które ich spotyka, niż zło, więc z zaufaniem w górę patrzą i ślepo wykonywują ruchy i pozy, które tam widzą.

Mieliśmy dawniej kłopot z arystokracją, że wyniesiona na szczyty, rozkładała się od powietrza na piarg i wytworzyła w swojej sferze pustynię górską, gdzie już nie rosło drzewo. Cierpiał na to Prus, bo istotnie w jego czasach jeszcze wszyscy wpatrywali się w życie pałaców. W Polsce niepodległej nastąpiła bardzo szybko przemiana uwarstwień według szczebli hierarchji państwowo-urzędniczej, do której użyto mnóstwo inteligencji. Zblakły dawne rangi towarzyskie — rodowe i kapitalistyczne — wobec takich dygnitarstw, jak: posłowie, senatorowie, ambasadorowie, ministrowie, wojewodowie, generałowie, komendanci policji i t.p. To już nietylko wyżyna, ale ster z sankcją państwową, nie tylko wzór, ale nakaz, nie tylko powaga, ale postrach — jednem słowem wzmocnienie niezmierne wszystkich przewag, jakie miała góra społeczna w porządku życia prywatnego.

Czy tylko prawa tam w górze się skupiły? Góra owa wzięła na siebie niesłychanie ciężką dziejową odpowiedzialność, połączoną z rygorami prawnemi doraźnemi. Arystokrata ponosił odpowiedzialność moralną za zgorszenie świata swoją nieprawością; mąż stanu, dygnitarz, oprócz tego odpowiedzialny jest dyscyplinarnie i karnie. Gdyby lud, patrząc tam w górę, dojrzał nieprawość, a potem widział, że jest bezkarna, owszem chwalona, to mu się odrazu w głowie odwrócą dawne miary pojęć o dobrem i złem. Wchodząc na złe tory, będzie się zachowywał jako człowiek postępowy. Jeżeli ktoś u góry powie: „My umiemy bić i bić będziemy“, to jego podwładny bijąc, działa z ambicji szczeblowania w hierarchji.

Niezmiernie też trzeba być ostrożnym przy obsadzaniu wyższych stanowisk, aby nie wysuwali się na czoło jako prawodawcy, tacy ludzie, jak np p. Sławek którzy potrafią publicznie zapowiadać łamanie kości. Nie można pod żadnym pozorem, chyba że się ma plany przewrotowe, wysuwać na stanowiska wysokie ludzi, którzy się chwalą, że kiedyś mordowali dla jakichś celów, z których dotąd sobie sprawy nie zdają. Nie można, bo patrząc w nich, jak w obraz, społeczeństwo dziczeje.

Względy wychowawcze są w Polsce nakazem moralnym tem bardziej kategorycznym, że społeczeństwo polskie jest niezbyt wysoko poziomowane w kulturze i domaga się pieczołowitej opieki. Dzienniki warszawskie nazajutrz po świętach Bożego Narodzenia stwierdzały, że dni świąteczne minęły spokojnie; jednocześnie jednak zanotowały, że pogotowie ratunkowe wzywane było kilkaset razy. Poprostu rznięto się po pijanemu nożami. Ludność dziczeje — to prawda, ale druga prawda jest taka, że w tejże Warszawie w XVII — XVIII wieku to samo robiła szlachta z tą różnicą, że używała do „roboty“ szabli. Nigdy zaś nie powiemy, że to jest największa okropność na tle moralności publicznej. Stokroć większa dzieje się wtedy, kiedy nie wśród motłochu jest „robota“, lecz u góry.

Zwłaszcza ludność wielkomiejska narażona jest na rozkład tych zasad moralnych, któreby ją trzymały w rygorze gdzieś na wsi lub w miasteczku, dla tego głównie, że jest zbliżona zbytnio do źle zachowującej się góry, która ma swój szczyt w stolicy. Czemże jest np. prasa brukowa, jak nie ściekiem, z góry płynącem od ludzi inteligentnych, którzy postanowili brudem zarobkować. Warszawskie dzienniki brukowe, źle strzeżone, nawet rozzuchwalone wpływami politycznemi, są powszechną szkołą rozpusty i zbrodni. Dzieje się coś bezmyślnego i przez opinję tolerowanego z uśmiechem. Podczas, gdy wysilamy się na prasę pouczającą i umoralniającą dla ludu wiejskiego, kładąc ambicje oświatowe w ich propagowanie, jednocześnie dla ludu miejskiego wydajemy pisma, których bez wstrząsu czytać nie może człowiek oświecony. Człowiek uczciwy po przeczytaniu takiego pisma ma taki smak, jakby popełnił paskudną nieprzyzwoitość. Czuje się skalany, jakby się otarł o kryminał. A jednak można się, jak widać, do wszystkiego przyzwyczaić. Ludzie z wyglądu do sfer wyższych należący, nie wstydzą się czytać tych pism w tramwaju i lokalach publicznych. Cynizm i wezwstyd szerzą się pod protektoratem góry, lekceważącej czystość.

Wszystko, na co rozkład może się w naszych czasach zdobyć, znajduje swoje główne ognisko w miastach. Te w organizmie społecznym, jak gruczoły w ciele, mają odgrywać ważną rolę. Tutaj w zasadzie ma być szkoła pracy wytwórczej. Ludność prosta, odnawiana dopływami ze wsi, trafia tutaj na atmosferę socjalistyczną, do pracy zniechęcającą. Wiemy, co się dzieje w Rosji, któraby

chciała teraz mieć i zasady socjalistyczne i pracę. Nic z tego — ani ruszyć z miejsca.

W Warszawie, w łonie wyższej inteligencji powstał prąd nauczania sposobów umiejętnej pracy. Nic łatwiejszego, jak nauczyć naszego utalentowanedo naogół robotnika tych sposobów. Ale sprawa jest głębsza: Zaczyna się od organizacji moralno-społecznej woli pracowania. Pytam się robotników, układających posadzkę kaflową w kuchni, czemu robią pochyłość nie ku ściekowi, lecz do pieca, gdy trzeba odwrotnie. A oni na to: „Mój panie, gdybyśmy chcieli wszystko odrazu akuratnie robić, ładniebyśmy wyglądali!"

Nie w wiedzy technicznej, lecz w podstawach życiowych jest jakiś feler, który pracę udaremnia. Ci sami robotnicy na obczyźnie doskonale zrobiliby posadzkę odrazu. Nikt im nie wyjaśnił, że spekulowanie na złem, nie może być korzystne ekonomicznie.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że wykręcanie się od pracy solidnej tandetą, a co gorzej umyślną fuszerką, jest przedewszystkiem zagadnieniem moralnem, a potem dopiero technologicznem i ekonomicznem. Szkoła socjalistyczna podaje tutaj rękę szkole żydowskiej. Od góry do dołu coraz gorzej będziemy pracowali, jeśli nie wyznaczymy dominującego miejsca szkole polskiej. Tej jednej może zależeć, aby praca w Polsce nie „wykręcała się" z zadań, lecz żeby tworzyła tak, aby zostawały po niej pomniki pracy cywilizacyjnej.

Jednem słowem — nie wymyślono jeszcze nigdzie innego sposobu na dźwiganie do góry człowieka zbiorowego, jak religja i ambicja twórcza narodu. One są siłą budującą człowieka na wartość moralną i siłą organizacyjną. Gdy w społeczeństwie biorą górę żywioły z temi czynnikami twórczemi walczące i one obejmują ster życia zbiorowego, gdy one narzucają się na wzór nizinom, wtedy następuje rozkład. Wtedy zapanowuje atmosfera doraźnych powodzeń, kultu siły ponad prawem, osobistego użycia i fuszerki na wszystkich polach pracy.

Poruszone tematy wiążą się wewnętrznie w sposób ścisły. Istnieje, poza polityczną, budową moralną społeczeństwa, oparta na kulturze dusz jednostek. Nie trzeba więc tak myśleć, że 1) wszystko, co potrzebne do rozwoju życia, załatwi państwo czynnościami mechaniczno - prawnemi — jak się to wmawia dzisiaj ludziom, 2) że obojętną jest wobec tego rzeczą, jakiego typu ludzie dobywają się na widownię publiczną, aby normować stosunki. Nieprawda. Sfery górne i ludzie na stanowiskach sprawują — czy chcą czy nie chcą — rządy moralne. Społeczeństwu zależeć musi na tem, aby do steru dostawali się ludzie i fachowi i etycznie wyrobieni, a przedewszystkiem oddani sercem sprawie wychowania społeczeństwa.

Społeczeństwo polskie jest młode. Gdzieindziej psucie się budowli może być tłumaczone jej starością. Ale gdy tam tynk opada, u nas pękają ściany. My nie możemy spokojnie patrzeć na eksperymenty, rujnujące piękne zarody życia. Bydło nie zaszkodzi staremu lasowi, ale niszczy zagajniki.

Dziwna rzecz, jak niedoceniane i niedoglądane jest wnętrze życia społecznego — wnętrze moralne! Póki się nie nauczymy orjentować w tej dziedzinie i nią gospodarować, dopóty dźwigać będziemy los istnienia niedojrzałego, niepewnym krokiem idącego w przyszłość.

DIGAMMA

WYCHOWANIE NARODOWE

WYMAGANIA

Szkoła może mieć program nauczania niewielki jak w Anglji — w rzeczach ojczystych szeroki jak we Francji — w rzeczach ogólnych wielki jak w Niemczech. Władze oznaczają *minimum* wiedzy, jakie powinien osiągnąć abiturjent gimnazjalny, przystosowują do tego program, liczbę godzin, podręczniki, system i wszystko jest w porządku.

U nas i tu musi być rozbieżność, aby w wyniku było w Polsce, jak kto chce.

Sądząc według owych ulgowych haseł i urządzeń, możnaby mniemać, że u nas władze zgodziły się na program mały wzorem angielskim. Tymczasem tak nie jest. To samo ministerstwo oświaty, które wzywa, żeby zmniejszać liczbę lekcyj, długość zajęcia i wprost nie stawiać wymagań — drugą pocztą zaraz przesyła bolejące pisma fakultetów uniwersyteckich, które się skarżą na brak przygotowania młodzieży gimnazjalnej do studjów wyższych. I to samo ministerstwo, które w ostatnich czasach srożyło się przeciw przeładowywaniu uczniów wymaganiami, sroży się obecnie na brak dojrzałości, wiadomości, rozwoju umysłowego i t.d. swej ratowanej przed przeciążeniem młodzieży.

Czy państwowe władze nie rozumieją, że w krótkim czasie nie można nauczyć wiele — że jeżeli się szkołom wyznacza małe *pensa*, to uczniowie mieć będą małe wiadomości — i że albo należy zerwać z modą, zwalniającą młodzież od wszelkiego wysiłku, albo trzymając się tej mody, odpalić uniwersytetom: „*Quos ego!* Siedźcie cicho i nie mieszajcie się w nieswoje rzeczy!" Jedno z dwojga należałoby wybrać i konsekwentnie przeprowadzać. Ale właśnie najchlubniejszą cechą polszczyzny bizantyjskiej jest brak konsekwencji.

Niema u nas systemu: są osobiste widzimisię. Wizytatorzy ministerjalni są niezgodni między sobą i z ministerjalnymi instruktorami (bo i tacy dygnitarze istnieją) — wszyscy zaś ci panowie ministerjalni są w niezgodzie z kuratorami i wizytatorami kuratoryjnymi co do tego, ile z danego przedmiotu uczeń powinien umieć i w jakim czasie można w niego owo *minimum* wiedzy wtłoczyć.

Bywają przytem rzeczy komiczne. Wizytator uważa, iż musi dawać pouczenia. Dziś wizytatorzy są młodzi, ponieważ doświadczonych starszych już wysłano na emeryturę. I wizytator nieraz zastaje nauczyciela, który ma tyle lat praktyki, ile p. wizytator lat życia, natyka się na nauczyciela, który go w gimnazjum uczył, lub jako aplikanta do zawodu sposobił — teraz ten młodzieniec udziela starszemu upomnień, wskazówek, poleceń, zagrożeń. Myśmy nigdy taktem nie grzeszyli, więc i w tych stosunkach wydarzają się wypadki wołające o Gogola, Szczedryna lub Lama. Kandydatom na powieściopisarzy, chorującym na brak tematu, polecam dziedzinę szkolną: humorysta, psycholog, społecznik każdy znajdzie kopalnię tematów.

Nauczyciel nie dowie się od żadnego z tych panów, jak ma ulepszyć sposób uczenia, egzekwowania i t. d., bo każdy inaczej mówi. Znam wypadek, gdzie temu samemu nauczycielowi jeden dygnitarz polecił nie ruszać się z poza stołu czyli katedry, aby wszystkich uczniów mieć zawsze na oku, a w tydzień później inny dygnitarz nakazał

chodzić po izbie szkolnej, ażeby prowadzenie lekcji nie przypominało wykładu uniwersyteckiego. W tym kierunku możnaby zbierać snopy, wiązki, stogi, sterty niewonnych kwiatków.

Ale nie potrzeba szukać nielogiczności między osobami, skoro można ją znaleźć u jednej osoby. Ten sam dygnitarz, który kładzie nacisk na niezadawanie niczego uczniom na domową naukę, wymaga od tych samych uczniów, ażeby znali nazwiska wszystkich dziś piszących belletrystów, krytyków, podróżników.

Zakazuje się uczniom uczęszczania do kawiarni i cukierni. A równocześnie żąda się, żeby znali „Świat", „Tygodnik Ilustrowany" i t. p. wydawnictwa, których w prowincjonalnych miastach nikt nie prenumeruje, z wyjątkiem właściciela kawiarni lub cukierni, jeżeli takie wogóle są w zapadłych kątach.

Uczeń ma się uczyć „igrając". A równocześnie kuratorjum lwowskie daje do matury temat: „Metafizyka i etyka Asnyka w związku z ówczesną filozofją zagraniczną". Pragnąłbym zamknąć w klauzurze wszystkich profesorów uniwersytetu i wizytatorów — wyjąwszy asnykistów — i zobaczyć wielu z nich, po całem życiu, przepędzonem na studjowaniu polskiej literatury, potrafiłoby na „dostatecznie" wypracować zadanie, którego się żąda od młodych chłopaków. Zdaje mi się, że można skończyć dobrze szkołę średnią, nie wiedząc dokładnie, co to jest metafizyką, a być specjalistą w literaturze polskiej, nawet długoletnim profesorem tego przedmiotu na uniwersytecie i — o ile się specjalnie nie opracowywało poety czy epoki — nie umieć podać podstawowych zasad metafizyki Asnyka. Czy więc od ucznia, który się uczył „igrając", można żądać aż takich rzeczy? I czy uczeń, którego hodowano dla ułatwień i beztrudu, nie może strzelać w głowy egzaminatorom, jeżeli od niego wymagają takich wiadomości i za ich brak go palą?

Pracuję 33 lat w szkolnictwie i na stare lata, wobec takich faktów, ciągle mam na ustach skierowane do wszystkich władz pytanie: „Czego wy właściwie chcecie?"

Chaos i blaga: oto jedyne cechy charakterystyczne naszego bezsystemu szkolnego. Możeby publicyści i krytycy literaccy zechcieli wziąć do ręki program ministerjalny nauki języka polskiego w wyższych klasach, zobaczyli, co ma nauczyciel wyłożyć i przeczytać z uczniami przez 3 lata, mające 32 tygodnie nauki po 4 godziny tygodniowo, ażeby zrozumieli, że wszystko jest blagą. Nie dziw, że znalazł się nauczyciel, nie umiejący wybrnąć z tej puszczy, który w szóstej klasie przez cały długi rok czytał „Antygonę" Sofoklesa w miejsce literatury polskiej. Zrobił lekturę „ogólnie" kształcącą.

Okazem blagi są t.zw. lekcje wzorowe czy pokazowe. Zamiast przerobić przedmiot naukowy jednej godziny i na następną lekcję przejść dalej, tłucze się dla pokazowego popisu jeden i ten sam przedmiot przez tydzień albo dwa, dopóki uczniowie nie nauczą się poprostu bezmyślnie dawać trafne odpowiedzi. Ukradło się przedmiotowi trzy, cztery, pięć godzin, ukradło się tyleż na uncje wymierzonego czasu uczniom i osiągnęło się nareszcie dla popisu, dla pokazu, czyli dla blagi lub zamydlenia oczu ten skutek, że uczeń dawał dobre odpowiedzi nawet wtedy, kiedy pytania do końca nie wysłuchał. Gdyby wizytatorami, kuratorami, ministrami i urzędnikami ministerstwa byli praktyczni pedagogowie, którzy wiedzą, co się w klasie i w duszach uczniów dzieje podczas lekcji, toby jak zgorszenia publicznego zakazali lekcyj pokazowych w szkole średniej. Jest to oszustwo pospolite i blaga, ale równocześnie strata bardzo drogiego czasu.

Jeszcze gorszą blagą są wystawy szkolne. A bywają liczne: okręgowe, powiatowe, miejscowe o zakresie szkolnym i powszechne, krajowe, wojewódzkie, okręgowe, w których szkolnictwo ma swój dział.

I znowu amatorzy reklamy wystawowej nie zdają sobie sprawy z przewrotu, jaki do szkoły wprowadza potrzeba obesłania wystawy, czyli zrobienia eksponatów. Odkomenderowywa się pięciu, ośmiu, dwunastu uczniów do warsztatu do zrobienia pokazowych mebli, okładek książkowych i t. p., innych zasadza się do wykresów stanu pogody za cały rok, stanu kasy koleżeńskiej i t. p., jeszcze innych do robienia chat, stodół, studni, cerkiewek z deseczek i papieru, tuziny dziewcząt do robienia etnograficznych lalek i t. d. i t. d. I wszystkich tych pracujących dla wystawy młodzieńców albo się całkiem zwalnia od lekcji na jeden, dwa, trzy tygodnie, aby robili eksponaty w domu, albo każe się im przychodzić do szkoły, ale odsyła się z klasy do izby, przeznaczonej na warsztat eksponatów. Przez jeden, dwa, trzy tygodnie ci młodzieńcy nie są na lekcjach i co przez to w wyższych klasach tracą, zrozumie tylko prawdziwy nauczyciel. Ale takich zasłużonych pracowników, których robota rąk sławą okryła szkołę, nie można potem cenzurować źle, chociaż przedmiotu istotnie nie umieją: zaniedbali się dla dobra publicznego i nie popełnili winy. Dostają więc z łaski promocję do wyższej klasy i bywają za włosy przeciągani przez maturę. Szkoła musi ich protegować, bo zaciągnęła wobec nich dług moralny.

Komu i na co to potrzebne? Jeżeli chodzi o statystykę szkolną, władze mogą ją zrobić bez uczniowskich eksponatów. Jeżeli o zbadanie pracy szkolnej na okazach, co może interesować fachowców tylko, to podczas feryj można zrobić wystawę wszystkich zeszytów z zadaniami, wszystkich rysunków i wykresów, jakich istotnie dokonano po szkołach danego okręgu i dla fachowca, oraz dla przedstawicieli władz, o ile się na rzeczy znają, będzie to nauką, doświadczeniem, spostrzeżeniem, pożytkiem. A tak odrywa się młodzież od przepisanej nauki, zajmuje się ją robotami, które do zajęć szkolnych nie należą i udziela się nagan lub pochwał za rzeczy nieszkolne, ale w szkole wykonane ze stratą czasu, programu i przedmiotu szkolnego. To już jest czysta blaga.

Wymagania, stawiane tak nauczycielowi, jak uczniowi są niedorzeczne. Biorę mój przedmiot jako przykład. Mam w szóstej klasie nominalnie 4 godziny tygodniowo. Po odliczeniu feryj letnich i świątecznych oraz obowiązkowej nieobecności podczas egzaminowania przy maturze, mam naprawdę 32 tygodnie nauki w roku czyli nominalnie 128 godzin na rok. Po odliczeniu pauz, przerw śródlekcyjnych na odsłuchanie i t. p. pozostaje 70 godzin 60 minutowych.

W tym czasie mam z 40 albo 35 uczniami przerobić całą polską literaturę od początków, a więc od XII wieku, aż do Mickiewicza w XIX wieku. Pożądany jest rzut oka na kulturę polską, a więc zaczynać można od wykopalisk łużyckich, a trzeba od przyjęcia chrześcijaństwa. Mam dać chrarakterystykę epok; pogląd na łacińskie (greckie), fran-

cuskie, włoskie, niemieckie, angielskie prądy literackie w różnych czasach; sylwetki lub życiorysy pełne około 50 poetów, polityków, myślicieli, historyków, kaznodziejów i t.d. polskich; przeczytać „Treny“, „Odprawę posłów“, „Sielanki“, „Satyry“, „Fircyka“, „Powrót posła“, „Barbarę Radziwiłłównę”, „Wiesława“, „Makbeta“, „Antygonę“, djalog Platona w całości, a w wyjątkach wzory owych wszystkich kilkudziesięciu pisarzy — mam skontrolować, czy tych 40 albo 35 chłopców umie to wszystko i mam ich tego wszystkiego nauczyć tak, żeby w domu pracować nie potrzebowali, lecz wolny czas obrócili na czytanie wielu powieści, przepisanych jako lektura obowiązkowa. I to wszystko w 70 godzinach. Czy to jest wykonalne?

Od ucznia zaś wymaga się, żeby w domu nie pracował, a mimo to wszystkie te rzeczy, jakie wymieniłem, dobrze umiał. Jak tę kwadraturę koła osiągnąć? Jeżeli mi pokażą wzorową lekcję, to ja metodą owej pokazowej lekcji zobowiązuję się osiągnąć pożądany skutek, ale nie za 70 lecz za 700 godzin nauki. Dlaczego mi tyle czasu nie dają?

To też w praktyce czytanie arcydzieł odbywa się tak, że młodzież po roku nie pamięta, czy dane dzieło wogóle czytała czy nie, bo o treści nie ma najmniejszego pojęcia — a w chwili czytania nie chodzi o piękno, rozum, bystrość spostrzeżeń, wielkość myśli, wzniosłość natchnienia, układ i t. d., tylko o najordynarniejszą plotkę, czy Numa wyszła za Pompiljusza czy nie. To jest skutek blagi.

I byłaby nasza szkoła niedorzecznością, wołającą o pomstę do uczniów i ich rodziców, gdyby nie jedna korrektura. Oto żaden nauczyciel i dyrektor w żadnej szkole nie wykonywa ściśle przepisów, rozporządzeń, wskazówek, poleceń, żaden nie stosuje ściśle zalecanych metod. Każdy wytwarza sobie wyobrażenie o tem *minimum* wiedzy z jego przedmiotu, z jakiem może ucznia puścić wyżej, egzekwuje to *minimum*, o ile czas i środki starczą, a blagę pokazową, wzorową, wystawową, postępową stosuje wtedy, kiedy przyjedzie przedstawiciel władzy i żąda popisu. Że młodzież nasza przy tym systemie przecież coś jeszcze umie, zawdzięczać to musimy faktowi, iż sumienni pedagogowie, życzący dobrze młodzieży, nie słuchają rozporządzeń, lecz uczą tak, aby młodzież z nauki skorzystała.

J. Z.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W Poznaniu powstaje filja lwowskiego T o w. L i t e r a c k i e g o im. Mickiewicza na wzór takich oddziałów istniejących w Warszawie, Krakowie i Wilnie. Oddziałem poznańskim zajmą się profesorowie: Grabowski, Dobrzycki i Pollak. Oddział poznański ze względu na ożywioną pracę, jaka się tam skupia, należeć będzie do najsilniejszych. W ostatnich czasach z młodych pracowników odznaczyli się tam St. Kolbuszewski, Latawiec, Mężyński i inni.

W Poznaniu ukazał się pierwszy zeszyt „K w a r t a l n i k a P s y c h o l o g i c z n e g o“ pod redakcją Stefana Błachowskiego. W zasadzie organ nauki polskiej, będzie umieszczał prace również w obcych językach, aby skupić pracowników całego świata. Śmiały to krok naprzód w życiu nauki polskiej.

LITERATURA ZAGRANICĄ

Znany powieściopisarz i dziennikarz, H. B é r a u d, autor o fejletonowem zacięciu, po napisaniu szeregu książek, w których zwierzał się ze swoich wrażeń z wędrówki po stolicach powojennej Europy („Co widziałem w Moskwie“, „Co widziałem w Berlinie“, „*Rendez vous Européens*“ i t. p.), wydał ostatnio książkę o tem, „co widział w Rzymie“ („*Ce que j'ai vu à Rome*“. Str. 258).

Autor jest republikaninem — o czem mówi z dumą, cokolwiek przesadną, we wstępie — który „uważa wolność za dobro najcenniejsze“, wskutek więc tego nie podobało się mu w nowożytnym Rzymie to, co powinno było się podobać, jako człowiekowi, odznaczającemu się zdrowym sensem i wybitnem poczuciem rzeczywistości.

Z powodu powyższej dwoistości swej natury nie podobało się autorowi to, że w Rzymie faszystowskim ściśle bardzo regulują ruch uliczny, że sadzają do kozy członków mafji sycylijskiej, do której dopiero za rządów Mussolini'ego wzięto się należycie, że na ulicach miast włoskich zbyt jaskrawo się zaznacza kult „*Il Duce*“ i t. p. Tego rodzaju „gwałty“ i dowody „silnych rządów“ — gniewają republikanina, wyznającego ideał abstrakcyjnej wolności, oburza się więc na to, bądź ironizuje z tego powodu, co nieraz niepozbawione jest *sui generis* wdzięku.

Już o wiele słuszniej przedstawia się oburzenie autora, gdy je wyraża z powodu zbyt zapalnych przemówień niektórych wodzów faszyzmu, „prowokujących“ Francję. Krytykując wszakże ów szowinizm faszystowski zapomina o morderstwach dokonywanych we Francji na faszystach przez emigrantów włoskich, o zamachach i spiskach knutych na ziemi francuskiej, na co władze francuskie dość obojętnem spoglądają okiem i t. p.

Żal za dawną, „passeistyczną“ że się tak wyrazimy, Italją — która zachwycała nonszalanckiego turystę widokami „leniwej i pozbawionej żywotności energji“ — jak powiada Marinetti — przebija melancholijnie z książki H. Béraud. Autor uchodzi w oczach własnych za „wielkiego przyjaciela“ Italji. Nie zawsze przyjaciel rozżalony bywa sprawiedliwy...

*

Znane powszechnie wydawnictwo miesięcznika „*Revue des deux Mondes*“ wydało z powodu obchodu stuletniego swego istnienia „Księgę Stulecia“ („*Le livre du Centanaire. Cent ans de vie française à la Revue des deux Mondes*“. str. 524), poświęconą dziejom tego pisma oraz głównym jego współpracownikom. Ta pięknie wydana, z licznemi ilustracjami, „Książka Stulecia“ daje treściwy obraz nietylko rozwoju znakomitej instytucji wydawniczej lecz i życia duchowego Francji w ciągu wieku. Dzisiejsi jego przedstawiciele wspominają tu w krótkich życiorysach tych swoich poprzedników, którzy byli chlubą i dumą „Przeglądu dwóch światów„, co przedłużali najlepsze tradycje kultury francuskiej i utrzymywali jej urok na obu półkulach,

*

Zainteresowanie się wielkiemi postaciami historycznemi bynajmniej nie ustaje we Francji. Po szeregu najrozmaitszych tego rodzaju kolekcyj powstaje obecnie jeszcze jedna, pod ogólnem mianem *Les Grandes Figures Coloniales*. Wychodzić ona będzie jak i *Vies des Grandes Existences* u nakładcy Plona, a mając za kierownika p. Pierre La Maziere. Zbiór ten, niezmiernie ciekawy, bo poświęcony specjalnie przeszłości kolonizacyjnej Francji i związanym z nią zagadnieniom obecnym, obejmować będzie dwanaście tomów, odnoszących się do dwunastu wielkich kolonizatorów, a mianowicie: Lally-Tollendal, Dupleix, Lavigerie, Le Bourdonnais, Brazza, Jacques, Cartier, Faidherbe, Champlain, Bugeaud, Francis, Garnier, Gallieni, Lyautey.

SZTUKI PLASTYCZNE

„LITERACKOŚĆ“ W MALARSTWIE

W OKRESIE naturalizmu wojującego utarło się w sferach malarskich i dotychczas przetrwało mniemanie, że czystą, bezinteresowną sztuką w malarstwie są tylko te dzieła, w których niema ani cienia tak zwanej „literackości“. Słowo „literackość“ nabrało w tem znaczeniu posmaku wzgardy i obelgi. Obarczano niem wszystko, co w obrazie mogło być posądzone o myśl, ideję, nastrój poetycki. Matejko? Literatura! Böcklin? Literatura! Wojtkiewicz, Czurlanis? Literatura! Prawdziwym malarzem było tylko oko czułe na kształt i barwę, ale — pod grozą czarnej listy! — pozbawione połączenia z mózgiem, duszą i sercem. Od anatemy nie chroniły nawet wielostronne i rzetelne wartości malarskie, jeśli skalane były wyobraźnią historyczną, poetycką, muzyczną, lub jakąkolwiek inną. Tym sposobem na indeksie znalazły się nietylko miernoty, ratujące się popularną tematycznością, ale i pierwszorzędne talenty.

Z prądu tego skorzystały przedewszystkiem właśnie miernoty, które ławą przeszły pod znak ówczesnego naturalizmu. Dogadzała im doktryna, usuwająca ze sztuki jej głębie duchowe, ponieważ oni właśnie byli płytcy i poza pewną wrażliwością oka fizycznego żadnemi innemi wartościami artystycznemi wykazać się nie mogli. Naturalizm zabarwiony taką doktryną dawał im patent na artystów. Nikt już nie śmiał ich legitymować z głębi duchowych, a ktoby się na to odważył, uznany był za wstecznika, filistra, burżuja. Nadchodzący w kołowrocie, a raczej — w kołowaciźnie przeróżnych „izmów" judoformizm przejął doktrynę naturalizmu i rozwinął ją do granic absurdu. Już nietylko myśl jakakolwiek, uczucie, nastrój, ale wogóle wszelki przedmiot świata widzialnego odbierał czystość sztuce malarskiej. Pozostawiono jej wyłącznie geometrję. Talmud judoformizmu otwierał wrota sztuki wszystkim maluczkim. Utknięto oślemi łbami w mur. Wtedy w górniejszych sferach kultury zaczęła dochodzić do głosu aryjska myśl o sztuce i rozpoczęła się reakcja, której dziś w malarstwie jesteśmy świadkami. Ale przesąd o „literaturze" pozostał, niby wyrostek robaczkowy, i jeszcze nawet u zdrowych niespodziane wywoływać potrafi zaburzenia. Trzeba go wyciąć.

Jak wszędzie w przyrodzie, tak i w sztuce niema zjawisk całkiem odosobnionych. Niepodobna wyobrazić sobie istnienia poezji, którąby całkowicie pozbawiona była cech malarskich lub muzycznych, ani muzyki odbarwionej z poetyckości i malarskości. Chyba że będą to wypracowania pozbawione talentu. Artysta, jako człowiek pełny, bardziej, niż jakikolwiek inny obywatel świata podlega prawom synestezji, rezszerzonej z dziedziny wrażeń do obszarów uczuciowych i umysłowych. Niema myśli, któraby w jego wyobraźni nie wywołała pewnych wrażeń artystycznych, niema wrażenia zmysłowego, któreby nie wstrząsnęło jego uczuciowością, niema uczucia, któreby nie zbudziło w jego umyśle jakiejś idei. A im większy artysta, z tem większą jasnością, trafnością i siłą działa ten cudowny splot organizacji duchowej. Któż wobec tego może ośmielić się na programowe zacieśnianie twórczości artystycznej do absolutnych granic tej lub owej dziedziny? Tylko doktrynerstwo ubóstwa i nieudolności, albo programowa złośliwość wrogów ludzkości.

Ta programowa złośliwość osiągnęła we współczesności swój szczyt w kształcie judoformizmu. Runął on już, coprawda, przygnieciony ciężarem własnego nonsensu, lecz w rumowiskach jego czają się jeszcze i pełzają różne gady obślizgłe, które triumfalnie hodował, a teraz same własny żywot prowadzą, tem niebezpieczne, że w tajemnicy i mrokach działają, niewinną często postać przybierają i jadem trupim znienacka życie zatruwają. Takim padalcem cichym jest, między innemi, doktryna „literackości", stosowana bez myśli i umiaru do każdego wzlotu poetyckiego, w malarstwie zauważonego. Celują w tem, zwłaszcza, krytycy żydowscy, których obecnie w prasie popolsku drukowanej namnożyło się tylu, że oni już opinję szerszych warstw polskich urabiają. Oni to głównie, obyczajem łobuzów, „literąckością" ową, niby żerdzią, każdy owoc dojrzewający z drzewa sztuki strącić usiłują, albo go przynajmniej poranić, albo wreszcie w oczach gawiedzi błazeństwami swemi ośmieszyć, umniejszyć i zasłonić pragną.

Chwilowo obniżone naogół życie kulturalne sprzyja ich zamiarom. Nawet wśród najmłodszego pokolenia malarzów dobroczynny zwrot, ku zaniedbanym rzemieślniczym i technicznym podstawom malarstwa dokonywany, łobuzy syjońskie w ten sposób wyzyskują, że, chwaląc go, przeciwstawiają go wartością duchowym, jako niby „literackim", czystego malarstwa niegodnym i ze sztuką niezgodnym. Cel ich jest jasny i na całej linji działań — od polityki do sztuki — zawsze jednakowy: chcą narody aryjskie ducha pozbawić, aby potem z ciałami bezdusznemi tak, jak z Rosją postąpili, krótko i rytualnie sprawę uległości rozstrzygnąć. W malarstwie, razem ze zwrotem do podstaw rzemiosła i techniki, siłą rzeczy zjawia się wybitna skłonność do realizmu, stąd zaś już tylko jeden krok wdół — do racjonalizmu. Realizm w malarstwie stanowi fundament, który może dźwignąć na sobie strzeliste ściany świątyni. Ale w warunkach odpowiednich może też wciągnąć artystę w podziemia, żadnem słońcem nieoświetlone, dla przestworzów wolnych stracone, dla ducha czcze i beznadziejne. Tam właśnie zarzutami „literackości" usiłują sprytne żydki wypchnąć sztukę, od realizmu przyczyniającą. Literackością dla nich jest każdy objaw synestezji artystycznej i duchowej, każdy poryw poetycki, każdy bohaterski wysiłek Sfinksa sztuki do wzlotu na skrzydłach Chimery.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

BAL W OBŁOKACH

W POPRZEDNIM zeszycie „Myśli Narodowej" mieliśmy sposobność poznać urywek sceny z trzeciego aktu komedji Stanisława Miłaszewskiego p. t. „Bal w obłokach". Premjera odbyła się 11 b. m. w teatrze Narodowym. Przyjęta entuzjastycznie, rozpoczyna długi szereg przedstawień, które szeroko będą komentowane. Miłaszewski wprowadził na scenę poezję w czasach, kiedy — zdawałoby się — niema nic uznania poza prozaiczną, zaledwie artykułowaną „prozą", wprowadził kunsztowną w formie literackiej, słonecznie roześmianą, rozperloną liryzmem poezję.

Pragnąłbym, żeby kto czyta niniejszą recenzję, wziął przed siebie tekst wspomnianej sceny i wyobraził ją sobie w inscenizacji, na jaką zdobył się teatr przy pomocy malarza artysty Drabika tak, jak ona była odegrana przez najlepszych artystów. Spotkała się tutaj w otwartym na ogród saloniku para młodych, płonących ku sobie afektem miłosnym. Podnieceni są nieprzespaną nocą. Był bal. On we fraku. Ludka nie brała udziału w zabawie — to ochmistrzyni, daleka kuzynka pani domu, Laury. Panienka nie wie, że Jerzy, z którym tak dobrze się rozmawia, jest właśnie z tej nocy zdobywcą pani Laury. Ten Jerzy, znałogowany już uwodziciel kobiet i hulaka, człowiek we własnem przekonaniu nie zdolny do poważnych uczuć i dążeń, osaczać już począł Ludkę swemi zalotami, ale oto Ludka budzi w nim czystą miłość. Scena przez nas przytoczona jest kulminacyjnym punktem psychologicznym komedji. Miłość, czy romans? Takie autor stawia zagadnienie i wesoło je rozwiązuje: „Miłość nie jest romansem"...

Ale jak to było? Cofnijmy się do aktu pierwszego. Interesująca nas para, Jerzy i Ludka, poznali się dopiero wczoraj. Ludka, jak to dziś bywa, „panna z dobrego domu, pracująca na siebie" (uosobienie zdrowia fizycznego i moralnego), gospodaruje w Wólce, podczas gdy płocha właścicielka, pani Laura, buja po świecie, zajęta romansami. Pod wieczór (kiedy słońce pięknie zachodziło, a był cudny wrzesień) pani Laura wpadła jak huragan do Wólki autem, z Warszawy, przywożąc z sobą lamparta Jerzego i zapowiadając bal. Cała falanga przybędzie za nią wkrótce.

Ten pierwszy akt, będący doskonałą ekspozycją, wprowadza parę innych postaci, przedewszystkiem „starszego pana" Bohdana, który czeka na panią Laurę, aż się ustatkuje i przyjmie serce swego sponiewieranego dawnego kochanka.

Drugi akt to zabawa. Autor zatrzymał nas w komnacie ubocznej, do której dochodzą dźwięki muzyki (sprowadzonej z miasteczka) z sali balowej. Jak w „Weselu" bronowickim wysuwają się do tego pokoju uczestnicy zabawy i tu na uboczu wypełniają swoje komedjowe przeznaczenie. Ostry flirt Jerzego z panią Laurą dochodzi tutaj do momentu, pijanego szałem namiętności, kiedy kochankom wychylającym się przez okno wydaje się, że w przyrodzie całej jest bal, że nawet obłoki toczą korowody koło księżyca. Bo Jerzy ma uwodzi-

cielski talent poetycki; eros, nawet w postaci romansu, ma chwile pokrewne poezji, gdy czysta miłość jest jedyna -- bez postaci i krewieństwa; ona i poezja to jedno. Dość, że pociągnął ich księżyc — przez okno — ku altanie. A to, że przez pomyłkę wzięto z sobą szal biednej Ludki (noc była chłodna) stało się przyczyną dramatycznych zawikłań.

Bo oto — akt trzeci — na tę scenę, którąśmy z początku z tekstu drukowanego wysunęli, wpada zazdrosny kochanek Laury, ów starszy pan Bohdan, trzymając szal znaleziony pod altaną. „Widziałem was z Laurą i śledziłem" — woła do Jerzego. Gdy Ludka, rozmarzona rozmową z Jerzym, swój szal poznaje, pan Bohdan ucieszony stwierdza, że się mylił co do niewiasty. To nie Laura była w altanie, ale Ludka. Dowiaduje się wtenczas dziewczyna, że Jerzy jedynie dla sportu próbował jej serca: to uwodziciel.

Oryginalność budowy „Balu w obłokach" polega na tem, że dopiero w finale, którym jest ten akt trzeci, zgromadzona jest cała akcja dramatyczna komedji. Czekała — pojawienia się słońca. Romans, księżycowe odbicie słonecznej miłości, stracił wobec uczucia dla Ludki swoją cenę. Najbardziej wartościową w sztuce Miłaszewskiego partją poznania poetyckiego jest psychologja Ludki.

Wiadomość o romansie Jerzego z Laurą uderzyła w nią nagle i wywołała burzę w duszy. Fala buntu i gniewu — przepaść otwarta — jakaś praca wewnętrzna, szukająca pomocy.

Czy wszystko stracone, czy niema w uczuciach ludzkich ratunku? Instynkt miłości jej mówi, że Jerzy też ginie: Bezwiednie wyciąga rękę.

W pewnym momencie stała się światłość w tej duszy i promień słoneczny padł na głowę grzesznika..

Miłość, raz w sercu zbudzona, poruszyła całą istność kobiety, doskonale sharmonizowaną i odnalazła się w jej zmyśle macierzyńskim. Ktoś obcy, nawet przyjaciel, może postawić krzyż nad człowiekiem, ale ona go uratuje swoją miłością. Skrzywdzoną kochankę ogarnia tkliwość na widok cierpień mężczyzny.

Miłość jest twórcza, wszystko odradzająca. Ona jest tem, co jest w życiu poezją; ona daje życie poezji. Ona ma chody ukryte w duszy człowieka normalnego i, gdziekolwiek poruszona, ogarnia całą istność żądzą tworzenia. Poetą jest ten, kto doznawszy czaru miłości, wypatrzone jej tajemnice pragnie zamknąć w formy trwałe arcydzieł, aby stały w ołtarzach życia, sławiono i błogosławiące miłość.

To, że w życiu dobro zwycięża, dając zaczyn nowemu życiu, że ono może być tematem komedji nad brzegiem przepaści, ale w rezultacie komedji pogodnej, uśmiechniętej słońcem, to wszystko jest dziełem miłości, która jest rubinową osią bardzo złożonej maszynerji życia.

W komedji Miłaszewskiego tą osią jest Ludka i to właśnie jest największą zaletą poetyckiego w życie wejrzenia tej komedji. Ludka stanowi jeden z tych tworów natury i kultury, który ocalił w sobie tajemnicę gatunku i linję twórczą indywidualną normalnie z niej wywiódł. Autor trafnie szukał tego momentu dodatniego w duszy czynnej, dźwigającej, bo tylko wysiłek, tworzący dobro, utrzymuje duszę w stanie harmonji wewnętrznej, w zdrowiu i normalności, w krzepkości i polocie. W takiej tylko duszy miłość porusza całe istnienie i wykonywa swoje najdalsze przeznaczenia.

W tem, co powiedziałem, kryje się odpowiedź na zadawane autorowi pytanie, czemu sztuki swoje teatralne wierszem pisze. Pisze wierszem, bo go na to stać, bo to jest jego potrzebą. Inny artysta wypowiada te same przeżycia po malarsku, a inny muzycznie. Nie o sam wiersz jednak chodzi, lecz o poezję. Komu się jawi życie ze strony poetyckiej, ten już jest we władaniu nie jakiegoś faktu postrzeżonego, lecz tego widzenia poetyckiego. Ono staje się tematem wykonania artystycznego. Inaczej mielibyśmy tylko referaty od naukowych aż do powieściowych.

Wiersz ze swoją muzyką i bogactwem barw, których się doprasza, jest doskonałym środkiem przelewania łaski widzeń poetyckich na słuchaczy.

Miłaszewski daje nam w formie dramatycznej swoje poetyckie odczucie świata, artystycznie stylizowane. Najpracowitsza i najwytworniejsza forma, w jakiej poeta może ofiarować się literaturze. Niepospolity wysiłek twórczy. Utwór Miłaszewskiego znakomicie skomponowany, wykonany jest z samych klejnotów słowa, artystycznie szlifowanych. Można komedję napisać prozą realistycznie, można wystylizować wierszem, jak to robił Fredro, ale Miłaszewski bliższy jest Słowackiemu (Fantazy). Ten rodzaj, dobywający z każdej rzeczy i z każdego człowieka znaczenie poetyckie i ukazujący świat przez pryzmat najlepszego stylu, do jakiego oko w sztuce przywykło, jest bardzo kosztowny.

Są to klejnoty słowa, rozbłyskujące w słonecznym świetle humoru. Przyczem to słowo, co się rzadko zdarza w poezji, przylega do psychiki każdej postaci. Nie jest to poezja generalna, lecz szczegółowa, robiona dla każdej osoby pod specjalnym kątem widzenia świata. W tych warunkach wszyscy na scenie są sobą i bardzo bliscy stają się publiczności, która odrazu znajduje się pod urokiem niepowszedniego widowiska. Poezja staje się naturalną atmosferą teatru i — każdy to może sprawdzić na sobie — rozmarzającą swem pięknem muzycznem. Wszystko wydaje się naturalne i konieczne i w tem leży wartość artystyczna dzieła, że doprowadzane zostało do tej prostoty, w której kunszt staje się już naturą rzeczy.

Dzieło tak wytworne może na scenie żyć przy dobrej współpracy wykonawców. Znalazł ich Miłaszewski w teatrze Narodowym w osobach pp. Ćwiklińskiej, Węgrzyna, Gorczyńskiej i Skarzyńskiego. Pani Ćwiklińska w roli Laury stała się ośrodkiem akcji dzięki niepospolitemu temperamentowi artystycznemu. Prześliczne dekoracje artysty Drabika harmonizowały nastrojem poetyckim z tem, co się w nich działo. Wszystko to złożyło się na całość w życiu teatru rzadko spotykaną, tak dociągniętą w wykonaniu technicznem do harmonji z naturą dzieła.

Z. W.

RYWALE

SZTUKA ta przerobiona została z filmu. Straciła przytem sporo walorów. Te jednak, które pozostały, wystarczają całkowicie, aby oglądać widowisko z zainteresowaniem. Rzecz się dzieje we Francji podczas wielkiej wojny. Do kompanji piechoty amerykańskiej, dowodzonej przez walecznego kapitana Flagga, zgłasza się świeżo przydzielony sierżant-szef nazwiskiem Quirt. Niegdyś kolegował z Flaggiem podczas ekspedycji chińskiej. Służyli też razem na Kubie. Quirt był wówczas również oficerem. Zdegradowano go za awanturę miłosną, w której rywalizował z obecnym swoim zwierzchnikiem. Flagg romansuje teraz z córką szynkarza, u którego stoi na kwaterze. Quirt, jak ongiś, zostaje jego rywalem. Pomiędzy jedną a drugą wyprawą do okopów walczą ze sobą niemiłosiernie. Jeden drugiemu gotów jest palnąć w łeb, bez żadnych skrupułów, skoro się tylko nadarzy okazja poza służbą. Gdy się jednak znajdują na froncie — są najlepszymi przyjaciółmi. W gruncie rzeczy lubią się równie mocno, jak mocno się czubią. Mniejsza o perypetje fabuły komedjowej, dość na tem, że sztuka daje wspaniałe pole do popisu talentom pana Junoszy-Stępowskiego i Samborskiego. Pierwszy gra rycerskiego kapitana, drugi dzielnego sierżanta. Kapitan zachwyca publiczność marsową elegancją manjer, której nie traci nigdy, nawet po wypiciu trzech butelek alkoholu. Sierżant czaruje galerję tężyzną, jurnością i zręcznością. O ile pierwszy prześlicznie pije, o tyle drugi cudownie gra w karty. Obaj są oczywiście prawdziwymi artystami szlachetnej sztuki bokserskiej. Sądze, iż autorzy sztuki pp. M. Anderson i L. Stalling nie mogliby sobie wymarzyć idealniejszych wykonawców. Miłą kością niezgody pomiędzy rywalami jest pani Jarkowska, grająca rolę Zermeny, córki szynkarza. Bardzo dobrze „robi" francuzeczkę. Aż za dobrze. Za dużo stosunkowo opracowania poświęca chrapliwemu akcentowi głosu i z tego powodu nie wkłada w swoją rolę dostatecznej poezji wdzięku. Żermena panny Dolores del Rio (na ekranie) bardziej była bliska typu Madelon.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

UPADŁOŚĆ

Z TYCH dwóch córek Wojciecha Kossaka znów jedna jest cokolwiek Aliną, a druga wydaje się na dystans Balladyną. Marja Pawlikowska rozwija swój talent przepięknie, z każdym tomem daje owoce soczystsze i rafinowańsze, cieszy się też wzrastającym szacunkiem sfer literackich i czyni zaszczyt dwom rodzinom, których nazwiska nosi. Natomiast Balladyna prowadzi się źle, literacko puściła się co się zowie i w opinji intelektualnej straciła cały kredyt. Jako parodystka i sarkastka zapowiadała się ślicznie. Wszyscy się cieszyli, że taka Magdalena i taki Samozwaniec zjawia się na horyzoncie. Zdawało się, że z niej wyrośnie jakiś nowy Lam na Galicję, czy też nowy potężny, bicepsowaty Bałucki na Kraków. Jeszcze lepiej byłoby się ułożyło, gdyby jako jakaś nowa Amazonka rzuciła się z furją na mężczyzn wogóle i zaczęła ich obsmarowywać co się zowie. Niżej podpisany, adorant „Na ustach grzechu“, życzył jej, aby się rozwinęła na polską *comtesse* Clam-Martel, t.j. na polskiego Gypa. Mieszkając w miasteczku, którem trzęsą żydy powinna była zostać Gyp'em Gyd'ów. Tymczasem stało się wprost naprzeciwko. Magdalenka okazała się słabeuszem i poszła linją najmniejszego oporu, nie wyzwoliła się do cna z krakauerstwa i po kilku latach pływania po brudnawej sadzawce lokalnej zatonęła biedaczka w pospolitości. Dała się skusić ponętom łatwych zarobkowań, plugawy Nabab, przedsiębiorca, kosmatą, grubą łapą wciągnął ją do olbrzymiej knajpy prasowej, zaczęła kawałami bawić gości Baru Dobijaków kultury i powoli spadała aż na dno kurjerkowej popularności. Za miskę soczewicy ze skwarkami sprzedała pierworodztwo swego niepospolicie zapowiadającego się talentu. Obecnie jest już, *lachons le mot*, wyższej klasy „Migową“ i odmianą „Jehanny“. Już się o niej mówi. Bawi Kraków plebejuszowski opowiastkami o perypychach, manjerach i perfumach paryskich. Tu i ówdzie wyłazi sobie też na estradę i przed gawiedzią, rozłożywszy dywanik, fika kozły i puszcza bańki. Bawi ją popularność parafjalna i tandetna reklama *à la* Kiepura. Aby mieć zaś publikę na tych konferencjach daje przedtem wywiady. Ponieważ Aryjczycy chodzą wyłącznie do kina (Pat i Patachon) przeto gwizdnąwszy na patałachów... daje wywiady żydowskim pismom.

Mamy taki jeden dokument puszczenia się na całego w lwowskiej „Chwili“ (19/12, 1929). Smutek bierze, gdy się pomyśli, że bądź co bądź Kossakówna w ten sposób łowi sobie brawa i złocisze.

Oto urywek:

„Niema rady na to — mówiła pani Magdalena Samozwaniec—ale jest to cechą Polaków, złośliwych Polaków: zazdrość o piszące kobiety. U krytyków żydowskich, przyznaję szczerze, nie spotkałam się z tem. Mam wrażenie, że ci ostatni, o ile chodzi o Polskę, świadomie walczą nawet o wybicie się piszącego Polaka czy Polki i stąd słuszne zasługi ich w tym wypadku. No, co ja na to poradzę, że jest tak, a nie inaczej, ale w Polsce krytycy Polacy za wszelką cenę tępią talenty kobiece“.

Tak mówiło, „dziewcze polskie“. W tem jest cały nowy nietyle Kraków co „Pokraków“. Już nie znają miary i taktu w tem zagłębiu Sarego. Już się płaszczą aż do obrzydliwości... Jak przed Austrją...

Magdalenka też przesadziła. Dla Iłłakowiczówny wszyscy żywimy nietylko admirację ale najgłębszą wdzięczność, może nawet czułość. Każdy jej tom bierzemy ze wzruszeniem do ręki, żeby godzinę spędzić z najpiękniejszą duszą generacji. Nawet jej kult dla „Pierwszego Marszałka“ nie przeszkadza nam ani na moment patrzeć w nią jak w błogosławione zjawisko. Uznajemy dalej cały szereg piór niewieścich w prozie i w poezji. Cieszymy się, że Nałkowska wchodzi na scenę. Nawet najnowszy talent p. Krzywickiej wzbudza dużo dyskusyj poważnych.

Nad gwiazdą Samuzwanicy przeszliśmy już do porządku dziennego. *Malaria cracoviensis... Coceteria acuta...*

TAKŻE RADOSNA „TWÓRCZOŚĆ“

W „SŁOWIE“ wileńskiem, reakcyjnie-prawicowo-ziemiańsko-monarchicznem, recenzje po ś. p. Jankowskim, światłym i wszechstronnie wykształconym Europejczyku, literatury i teatru koneserze, objął p. M. Limanowski do niedawna radykalny postępowiec, geolog, scenolog, reformator, nowelizator, w sumie przemiły Gaduliński, chory na teatr, o którym niema żadnego skrystalizowanego wyobrażenia, jako zakulisowy mistyk i metafizyk kulis, piszący bardzo ciekawą prozą, nieco pretensjonalną, nieco natchnioną, patetyczną, pogłębioną i... pustą. Grandilokwent wiercący dziury w brzuchach swoją dyletancką kompetencją, genjalny w każdym calu, po kwadransie nudny, bo olśniewający owocami swej lektury nie przetrawionemi i nieprzeżutemi. Dorwawszy się po latach do fotela recenzenta, wypisuje w „Słowie“ olbrzymie tasiemce, a jako że cały żywot na prowincji przesiedziawszy, żadnego poczucia perspektywy nie posiadając o lada farsie bulwarowej wypisuje takie dyssertacje, jakby godziło się przy Pirandellu lub Lenormandzie...

Nawiasem mówiąc, ten sam p. Limanowski niedawno temu znalazłszy się w Poznaniu na wystawie pozwolił sobie potem na bardzo leciutkie uwagi o tem mieście w tym guście:

„Oglądając skarykaturowany Kurfürstendamm w Poznaniu, serce nasze zachowuje się obojętnie, nawet oschle. Mózg jakiegoś rodaka-architekta może nam sto razy wkółko powtarzać, że to jest architektura nowoczesnych wystaw... Dla nas architekturą w Polsce jest to, co się piętrzy bohatersko, w czem nie jest mózg, ale zapał... Cudzoziemiec, który przyjedzie do Poznania, zobaczy Polskę koszarową niemal, i ostrzyżoną, ogoloną, okropnie zamydloną, bezduszną niemal, twór bez wyrazu“...

Śmieszniejszy znacznie jest debiut innego melomana. Po jednym z występów pani Hanki Ordonówny w Teatrze Polskim, (te występy stały się rodzajem Bayreuthowskich festiwalów dla judeosanacji warszawskiej), redaktor „Polski Zbrojnej p. W. L. Ewert uważał za wskazane poświęcić temu *evenement* artystycznemu cały fejleton. Z panny Ordon pewna część publicystyki artystycznej stara się zrobić jakąś dziewicę Orleańską Judo-słowiańszczyzny, jakąś *madame* Roland czy „boginię rozumu“ majowej rewolucji. Reklamowanie tej zresztą czarująco zdolnej artystki rewjowej przeszło wszylkie granice zdrowego sensu, a Teatr Polski od czasu do czasu zamienia się dla niej na rozszerzone „*Qui pro Quo*“, jakoby artystka ta była „słowikiem dyktatury“ czy też honorową markietanką I-szej Brygady. I otóż o tej wysoce zresztą rafinowej i muzykalnej gwiazdeczce „*Qui pro Quo*“ p. W. L. Ewert, redaktor „Polski Zbrojnej“ (organ armji polskiej) pisze:

„Sadyzm przejawia się właśnie w uczuciu zadowolenia, jakim napawa widza obraz cierpienia... Ordonówna jest mistrzynią w odtwarzaniu i uwypuklaniu, w wyjaskrawianiu takich właśnie przeżyć, rwących naskórek uczucia, przemawiających do ludzkiej czułostkowości, do namiastki uczucia—sentymentalizmu.

Gdy chodzi o artystów dużej miary, a do takich zaliczamy Ordonównę, przedziwna zdolność wcielania się w tok, sztuka odtwarzania, a więc sam artyzm wykonywania, w oderwaniu od wykonywanego, zdolen jest i porwać i zachwycić widza, przysłaniając sobą — swą właściwą sztuką, istotę melodramatu, czy wady konstrukcyjne odtwarzanej postaci. Jest to jeszcze jeden triumf, triumf sztuki odtwórczej nad rzeczywistością odtwarzanego“. I tp. i t. d. w tym guście.

Pean redaktora „Polski Zbrojnej“ dla p. Hanki Ordonówny jest zarazem jego debiutem w roli recenzenta teatralnego. Czemu przypisać należy ten popis entuzjastyczny niewiadomo. W każdym jednak razie jest to z tylu w Europie pierwszy redaktor oficjalnego pisma wojskowego, który zapuszcza się w regjony kabaretowe i rozpisuje się o... sadyzmie śpiewczym i tp. Tych panów „radosna twórczość“ widocznie rozpiera.

Istne *Qui pro Quo* na wielką skalę.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wśród entuzjastycznych naogół recenzyj, jakiemi krytycy stołeczni powitali premjerę „Balu w obłokach“ St. Miłaszewskiego, dwaj sprawozdawcy wyróżnili się niezwykłą surowością w ocenie poety i jego dzieła: p. Boy-Żeleński („Kurjer Poranny“) i p. Wincenty Rzymowski („Express“ czerwony). P. Boy-Żeleński ostrzega swoich wielbicieli przed sztuką Miłaszewskiego, obawia się bowiem, iż zepsuje ich ona i zgorszy jako... niemoralna, natomiast p. Wincenty Rzymowski jest zdania, że dla smaku czytelników „Expressa“ czerwonego „Bal w obłokach“ jest... zamało wytworny, zbyt niewybredny w doborze efektów artystycznych i szukaniu poklasku tłumu, jednem słowem zbyt pospolity, brukowy...

*

W „Pamiętniku Warszawskim“ (zesz. IV, str. 209) w recenzji o powieści L. H. Morstina p.t. „Kłos panny“ czytamy: „Dość luźną kompozycję powieści i charakterystykę może cokolwiek za jednostronną samego Kopernika L. H. Morstin wynagradza sowicie pogłębieniem jego myśli“... Jakże miło jest dowiedzieć się, że mamy tak „głębokich“ literatów.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.